№ 15. Warszawa, dnia 2 (14) Kwietnia 1883 roku.

# TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.– Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.



## PRZEGLĄD LITERACKI.

### Studya historyczne.

I.

**Dr S. Smolka.**

W tomie drugim szkiców obejmujących kilka prac drobniejszych, ale zawsze barwnie i żywo opowiedzianych, jedną z główniejszych jest niezawodnie zatytułowana „Po bitwie Mochackiej”. Król Ludwik zginął na polach mochackich w 1526 roku nie zostawiwszy po sobie potomków. Po jego śmierci stosownie do układów dyplomatycznych, a głównie kongresu wiedeńskiego z 1515 r. korona Czech, jak również i Węgier, miała w razie bezpotomnego zejścia tej linii Jagiellońskiej, przejść na Habsburgów, a mianowicie Ferdynanda męża Anny Jagiellonki, siostry króla Ludwika. Smutne to były czasy, kiedy po sejmie w Krakowie król Zygmunt Stary stanął dnia 24 marca 1515 roku w Preszburgu, gdzie nastąpiło spotkanie trzech władzców w lipcu między Bruckiem i Hainburgiem. Dnia 19 lipca już Maksymilian gościł dwóch Jagiellonów w swojej stolicy Wiedniu, a w trzy dni potem zdążono podpisać traktat z Polską, w którym cesarz ofiarował swoją neutralność w obce sprawy hołdu pruskiego i pośrednictwo w toczącej się z Moskwą wojnie. Kongres wiedeński, to zwycięztwo austryackiej polityki w Węgrzech, otwierający domowi habsburgskiemu widoki ewentualnego następstwa, wiązał Polskę z cesarstwem i cofnął z długoletniej anty-austryackiej polityki dynastycznej Jagiellonów. Był on ze strony Polski rodzajem abdykacyi politycznej, wywołanej tak niemożnością wszechstronnej walki, jak niedostatecznością organizacyi wewnętrznej.

Król wdowiec od 1515 roku, wziął w trzy lata później, żonę Bonę Sforcyą, chociaż co prawda księżniczkę medyolańską jednakże z poręki tronu austryackiego, a chociaż królowa niejednokrotnie okazywała niechęć tronowi cesarskiemu, to jednak w gruncie rzeczy, związana była z nim interesem swojej sukcesyi neapolitańskiej, księztwa Baru pod zwierzchnictwem Hiszpanii zostającego.

Wogóle więc wszystkie korzyści bezpośrednie z kongresu zawiodły. Pośrednictwo w sprawie moskiewskiej okazało się bezskutecznem, gdyż już w 1519 roku wziął się Wasyl ponownie z Albrechtem brandeburskim, tak iż w trzy lata potem ledwie przyszło do zawarcia pięcioletniego, a w 1527 r. do siedmioletniego zawieszenia broni. Musiał to król Zygmunt uczynić, bo cesarz Maksymiljan wbrew przyrzeczeniu, nie wdawał się wcale w te sprawy, a granica wschodnia Rzeczypospolitej, coraz boleśniejsze otrzymywała rany od napadów tureckich. Oprócz tego trwająca ciągle wojna moskiewska nie pozwalała zabrać się do Albrechta, który wśród ciągłych rokowań, złożenie hołdu zwlekał. Co więcej, że i stary Maksymiljan umarł. Po nim objął rządy w cesarstwie Karol V (1519 r.), który mniej jeszcze troszczył się o kongres zawarty przez ojca i sąsiednich monarchów w Wiedniu. Okazuje się więc, że i dawniejsze układy dyplomatyczne nie zobowiązywały również wtedy jak i dziś władzców tego świata, a tem bardziej nieuszczęśliwiały poddanych, którzy mając możność po temu, opierali się samowoli pergaminowych kombinacyi.

Widząc też Polska, że układy te tak lekceważąco traktują cesarze, skorzystała ze zdarzającej się okazyi i kiedy Ludwik wśród strasznego boju poległ na polach Mohackich, a następca jego Ferdynand pospieszył objąć wedle ustawy kongresu osierocone trony Czech i Węgier, Polska okazała się neutralną... Czechy poddały się Ferdynandowi bez trudu, ale za to korona węgierska nie mało pieniędzy, przyrzeczeń i obrotności dyplomatycznej kosztowała Ferdynanda.

Jako przeciwnik Ferdynanda i pretendent do korony węgierskiej, wystąpił wraz z partyą narodową Zapolya, obrany prawie jednomyślnie królem Węgier, przez naród, popierany przez stronnictwo francuzkie i prawie całą ligę anti-austryacką, a nawet po za nią stojącą w osobie Henryka VIII-go króla Anglii. Polska jako najbliższa sąsiadka potężniejącego i wzrastającego tak szybko domu Habsburgów, knującego związek przyjazny z Moskwą, powinna była o ile możności psuć interes Ferdynandowi, paraliżując wszelkie jego starania się o koronę węgierską. Stało się jednak przeciwnie, może wpływ Bony, może też samo wspomnienie dyplomatyczne Zygmunta I-go pokierowało polityką państwa na drogę błogiego spokoju... który jak w tym razie nie był zupełnie dla kraju korzystnym. Gruntowna praca pana Smolki wykazuje właśnie błąd tej polityki, a zdaje się, że nie jest oparta na słabych podstawach, gdyż młody profesor zużytkował tu wszystko co mógł na razie, korzystając z całego wiedeńskiego archiwum.

Drugim bardzo zajmującym szkicem w tej książce jest „Iwan Czarny” ten wódz tłumów chłopskich zbiegłych pod jego sztandar. Kto jest ten wódz? Czy geniusz, czy bohater?... Nie, to tylko awanturnik, niegdyś pachołek stajenny na dworze Zapolyi, później wódz i prorok zbrojnych tłumów, któremu schlebiali koronowani, chcący go pozyskać dla swoich celów, pobity nad Maroszem, postrzelony podstępnie w Szegedynie, dostaje się nareszcie do niewoli około wioski Tornos.

Otóż i koniec tych zabiegów... schwytanego za-

bito, a głowę odstawiono do króla Zapolyi i podano ją na półmisku, oblawszy przedtem octem. Sama ta postać Iwana Czarnego nie budzi wcale silniejszego interesu, ale ciekawą jest jako symptom antagonizmu uzasadnionego zresztą pomiędzy słowianami a Węgrami.

Ciekawą także pracą jest „Gniazdo Tęczyńskich”. Autor probuje tu z niesłychaną starannością rozjaśnić stosunki genealogiczne tego dawnego rodu. Cała ta rozprawa składa się z pięciu części z których „Na Tyńcu” i „Sieciech” są prawie streszczone większej części ustępów z obszerniejszej rozprawy „Mieszko stary i wiek jego.

Ważnym także bardzo szkicem, jest króciótki odczyt „Spor z kościołem”.

Rzecz cała opiera się na zwycięzkiej walce dzielnego króla Kazimierza Jagiellończyka z kościołem.

Wiadomo, że śmierć Władysława pod Warną, postawiła w Polsce na porządku dziennym kwestyę obsadzenia tronu. W myśl dawnych zobowiązań możnych i szlachty polskiej, korona przypadała Kazimierzowi Jagiellończykowi wielkiemu księciu Litwy, który w ostatnich latach wiele się odbił od widoków polskich. Na zjeździe w Sieradzu 1445 r. postanowiono wysłać poselstwa na Litwę, które atoli znalazło niespodziewany opór.

Kazimierz zasłaniał się początkowo wiarą w życie brata, czynił nawet za nim poszukiwania, aż w końcu okazało się, że opór był więcej polityczny.

Zniecierpliwione temi zwłokami stronnictwo polskie, wybrało w Piotrkowie Bolesława, księcia mazowieckiego królem i zagroziło Kazimierzowi, że jeżeli nie przybędzie na oznaczony termin, to uchwała ta wejdzie w życie. Zmuszony tem zagrożeniem król przybył dnia 24 czerwca 1447 roku do Polski, ale ani prawnie potwierdził, ani spornej sprawy granicznej nie poruszył i nie załatwił. Przybywając do kraju Kazimierz połączył tylko godność wielkoksiążęcą z królewską w swojej osobie, tak, że warunki, pod jakiemi przyjął koronę polską można słusznie uważać za pierwszą porażkę panującego w Polsce stronnictwa.

Wstępując na tron polski ten wielki i niepospolity monarcha, potrafił rozpatrzyć się szybko w okalających go stosunkach i na samym wstępie usunąć z przed siebie tak rozpanoszoną politykę Zbigniewa Oleśnickiego.

Nie mógł bowiem znosić obok siebie drugiego wielkorządzcy, drugiego oligarchy, jakim był biskup krakowski.

Rzeczywiście zdarzyła mu się po temu sposobność. Na widowni politycznej tlała zacięta walka pomiędzy papieżami rzymskimi. Przybywający na czas król, ukoronowany dnia 24 czerwca rozpoczął rządy od oświadczenia się za obedyencyą papieżowi Mikołajowi V-mu, żądając wszakże od niego przez osobne poselstwo prawa nominacyi na dziewiędziesiąt najważniejszych beneficyów i dziesiątej części dziesięcin na potrzeby wojenne, co też i otrzymał.

Krok ten wogóle był wymierzony przeciw usiłowaniom Zbigniewa Oleśnickiego, który nie chcąc dać się ubiedz wysłał poselstwo, do Rzymu domagając się ofiarowanego sobie przez Feliksa V-go i przez Eugeniusza IV-go, kapelusza kardynalskiego.

W grudniu 1449 roku na sejmie piotrkowskim, król spotkał się z nowo kreowanym kardynałem Oleśnickim, który po długich zwłokach doczekał się nareszcie godności, mającej go postawić po nad arcybiskupem gnieźnieńskim, którym był Władysław Oporowski.

Gniewały mocno króla te samodzielne kroki Zbigniewa, tem więcej, że biskup osłonięty powagą Królowej Zofii, przeprowadził świeżo zawieszenie broni między walczącemi w Węgrzech stronami: Janem Giskrą, wodzem partyzantów Władysława pogrobowca i Janem Hunyadem, od którego się król dla intryg w Mołdawie odwrócił. Gdy arcybiskup kardynałowi pierwszeństwa ustąpić nie chciał odbywały się narady z wykluczeniem obu, a spór o potwierdzenie przywilejów i sprawę graniczną litewsko-polską zaszedł tak daleko, że Jan Tęczyński, wojewoda krakowski, odmawiał królowi dalszego prawa rządzenia i sądzenia, a to wbrew Oleśnickiemu doradzającemu łagodniejsze środki. Niebawem jednak na sejmie przeprowadził król prawo o kardynalstwie, wymierzone wprost przeciw możebnym roszczeniom Oleśnickiego, które przysądzało arcybiskupom gnieźnieńskim dawne prorogatywy, pozostawiało Zbigniewa przy tytule i zastrzegało, aby na przyszłość bez wiedzy stanów nikt nie śmiał się starać o godność kardynalską. Nawet Lasocki, ów protektor i popieracz Zbigniewa, nie otrzymał mimo poparcia papieża, biskupstwa kujawskiego, które król Janowi Gruszczyńskiemu ofiarował.

Odtąd też polityka Zbigniewa upada znacznie, a biskup staje na czele opozycyi, pociągając za sobą nawet Długosza.

Jednakże potężny król niweczy wszystkie usiłowania biskupa krakowskiego i ze sporu wychodzi zwycięzko. Chwile tej walki bardzo obrazowo przedstawił w swoim szkicu profesor Smolka, a sama rzecz przedstawia prawdziwy interes dla miłującego prawdę czytelnika. Rzeczywiście jest to jeden ze świetniejszych momentów Kazimierza Jagiellończyka, który złamawszy potęgę Oligarchy może już ostatniego, rozpoczyna nowy okres w rządzie monarchycznym polskim.

Ostatni artykuł w tej seryi szkiców: „Wina czy nie wina” dotyczy udziału Maryi Stuart w zamordowaniu jej męża. O tej pracy nie będziemy się obszerniej rozpisywać, gdyż jest to tylko sprawozdaniem z dzieła d-ra Harry Breslau.

*W. Cz.*

---

## W oddaleniu.

Cóż z tego, o najmilsi, żeśmy rozłączeni,
Że nas dzielą przestrzenie i Boże wyroki:
Jest siła co z serdecznych wytryska promieni,
I w jedną całość wiąże świat uczuć szeroki.

Szmer liści, błękit nieba, gwiazd blade promyki,
Melodyjne półtony krążące w oddali,
To spójnie serc tęskniących, wierne pośredniki
Tych, co się ze łzą w oku na długo rozstali.

Czy mnie w cichą noc letnią woń kwiatów rozmarza,
Czy gwiazdę spadającą smętnym wzrokiem gonię,
Czy słucham dźwięcznych trylów leśnego pieśniarza,
Wszędzie ślad waszej myśli przeczuciem odsłonię;
I nucę pieśń tęsknoty w minorowym tonie,
Którą wam powiew wiatru dosłownie powtarza.

*Emilia.*

---

# BŁĘDNE DROGI.

Rzecz opowiedziana

przez

J. K. GREGOROWICZA.

(Dalszy ciąg.)

Wtem z obocznego mieszkania wyszła służąca: nieznajomy szybko zwrócił się do niej i strojąc się w bardzo poważną minę zapytał:

— Moja dobra panno, powiedz mi gdzie tu mieszka pani Nazdarska?

— Tu taka pani żadna nie mieszka — odrzekła dziewczyna.

— Ale to być nie może, wyraźnie mam adres dom ten wskazujący.

— Tu mieszkają tylko moi państwo Bordzcy — odezwała się znowu służąca — i pani Kraworska z siostrzenicą, która teraz właśnie znajduje się w ogrodzie.

— A co to za mężczyzna co z niemi rozmawia? — zapytał przybyły przymrużając oko i zaciskając usta, jakby chciał przejrzyć dziewczynę, czy czasem wykrętnej nie da odpowiedzi.

— To nauczyciel pan Stroński — odrzekła — przychodzi trzy razy na tydzień i podobno ma się żenić z panną Stasią.

— Żenić się? — Fiu, fiu! to nie bagatela, a co to za jeden?

— Ej! nie wiem dobrze, podobno akademik co ma zostać mecenasem, ale dziś strasznie koło niego kuso.

— No, akademik, to nic dziwnego, że u niego i szczupło i kuso, ale akademików to panienki lubią i oczkami na nich zergają.

— Ej! jak które — odparła służąca. — Mnie się on wcale nie podoba, jakiś taki niezgrabny, nieszykowny, skuli się to i wlecze przez podwórze jakby w jaką niepogodę.

— To musi być z niego dopiero śmiechu co niemiara — odezwał się nieznajomy — dobre i to na nudy.

— Zapewne, jak nie ma co robić, ale panna Stasia to przepada za nim i jak ma przyjść na lekcyą, to wyglądania nie ma końca. Wystroi się, przyjrzy w lustrze, potem przechodzi od okna do okna a jak go zobaczy, że idzie, to wybiega na przeciw i wymawia, że się spóźnił. Już nie wiem co sobie upatrzyła w nim taka śliczna panienka, bo że on za nią szaleje to nic dziwnego...

— Ej! szaleje — przerwał nieznajomy — pewno zdaje się pannie.

— Nie zdaje się, tylko na prawdę szaleje — odrzekła służąca głos podnosząc jakby obrażona zaprzeczeniem. — Marysia od pani Kraworskiej powiada, że jak siedzi przy pannie Stasi, to tak patrzy jakby chciał ją połknąć i już nie spuszcza jej z oka tylko gdzie panna Stasia to on tuż za nią ze spojrzeniem.

— A i kiedyż będzie wesele?

— A któż tam ich wie, młodzi to mogą czekać.

W tej chwili rozmowa w altanie przycichła, Stanisław zabrał się do odejścia. Gdy nieznajomy to zobaczył, rozpoczął rozmowę ze służącą o pani Nazdarskiej, ale pilną uwagę zwrócił na przechodzącego obok siebie młodzieńca, przyjrzał mu się bacznie i zaraz potem wyszedł z otoczenia.

Stanisław szedł szybko, za nim tuż krok w krok

postępował nieznajomy. Młodzieniec nie zwrócił na to uwagi, myśl jego cała była przy Stasi. Odbyta lekcya i rozmowa szczególne na nim wywarły wrażenie.

Mówiono o napadach złych sąsiadów na posiadłości dawnej Polski, o obronie jej całej cywilizacyi, o bohaterstwie mężów w walce niemal ciągłej pędzących swój żywot, i o bohaterkach matkach, które takich synów dawały ojczyznie. Stasi słuchającej buzia rumieniła się, oczy pobłyskiwały zapałem, nie odrywała ich od mówiącego, a gdy umilkł jeszcze patrzyła na niego jakby z żalem, że już zawiesił swoje opowiadanie.

— Ah! jakie to piękne, jakie podnoszące!—odezwała się wreszcie. — Jakże dumną jestem żem się Polką urodziła! Wszak prawda panie Stroński, że w dziejach naszej przeszłości, kobiety w bohaterstwie niczem nie ustępują mężczyznom. Oni nieśli życie w ofierze, kobiety wszystko co na ziemi kochały. Mężczyzna ginął nieraz straszliwą śmiercią, na polu bitwy lub w pętach niewoli, kobiety pędziły całe żywota w smutku i żałobie stokroć straszliwszej nad śmierć samą. Kto większym był tu szafarzem poświęcenia... trudno ocenić, czuję tylko, że prababki moje, nie powstydziłyby się swej praprawnuczki.

Podobnie czuł i pojmował Stanisław. Dźwięk słów Stasi zdał mu się płynąć z własnego serca, być echem jego myśli, pragnień i przekonań, słuchając ją mówiącą zdało mu się, że patrzy na Wandę z mogiły pod Krakowem przemawiającej do niego z jękiem wiekowej boleści.

Nieznajomy szedł ciągle za nim, gdy wreszcie Stanisław doszedł do kamienicy na Starem mieście i wbiegł na schody, nieznajomy ściągnąwszy wiadomość, że w niej istotnie zamieszkuje, napisał sobie numer domu i powlókł się do poblizkiej kawiarni, aby się ochłodzić po męczącej gonitwie za młodzianem.

Nieznajomy był to mężczyzna młody jeszcze z włosem niepewnej barwy i z wyrazem twarzy niby dobrodusznym, niby łagodnym i pociągającym, ale w uśmiechu jaki w lica jego zdał się być wrośnięty, przebijało szyderstwo i coś niemile odpychającego. Ubrany przyzwoicie należał do tej klasy poronionych zdolności, dla których nic nie jest obce, wszystkiego liznęli potrochu, o wszystkiem mogą rozprawiać, ale nic nie umieją gruntownie. Nauka jednak prawa była jego specyalnością, a raczej jego kruczki, wykręty i podejścia, a główną żądzą... fortuna za jaką bądź cenę.

W kawiarni będącej tem wówczas, czem są dzisiejsze bawarye lepszego zakroju, był widać gościem dobrze znanym, bo sama gospodyni powitała go skinieniem przyjaznej znajomości, a młodziutka kawiareczka przystrojona w świeży fartuszek ujmując się za sukienkę złożyła mu ukłon powitalny.

— Ah! panie Klemensie — zawołała — czy to się godzi tak o nas zapominać? Już wieki prawie jak pana nie widziałam.

— Nic na tem jak widzę moja Justysiu nie straciłaś — odrzekł Klemens zabierając miejsce przy próżnym stoliczku. Zawsześ powabna i ponętna, jak syrena warszawska, co nęci i wabi i oskubanych głupców odpędza potem na pośmiewisko ludzkie.

— Ej! cóż mi z tego — odrzekła Justysia ze smutnem westchnieniem, kiedym z pana jeszcze jednego piórka nie wyrwała.

— Ba! bo się bronię jak mogę, chociaż umiem cenić tę buzię kwiatek przypominającą, te oczki figlarne, ten uśmiech zalotnie szatański, tę figurkę jak utoczoną...

— Oho! przerwała Justysia, te komplementa niedarmo mnie spotykają. Zapewne masz pan jakiś interes na myśli, coś takiego w czem usłużyć ci mogę...

— Rzeczywiście, mam w tem interes, malutki, niewielki...

— Gadaj pan, gadaj, bo nie mam czasu.

— Oto, myślę sobie, że byłoby to wcale niegłupio gdybyśmy przed światem wystąpili jako mąż i żona...

— Ja? żoną pana Klemensa? — zawołała ze śmiechem Justysia. — Gdybym była tak wielkim jak ja dukatem, no to uwierzyłabym w pańską chętkę małżeństwa, ale biedna jak ja posługaczka w kawiarni...

— Kto ma lat ośmnaście...

— Przepraszam — przerwała Justysia — bo w czerwcu dopiero lat siedmnaście skończyłam, proszę mi lat nie dodawać.

— Niech i tak będzie, przecieć metryki nie żądam. Otóż kto ma lat siedmnaście i buzię tak powabną, to właśnie jest owym wielkim dukątem na którego o kupca nietrudno.

— Więc mnie pan chce sprzedać i na kupnie zarobić?

— Nie, przeciwnie, kupić cię pragnę aktem małżeństwa, a później być małżonkiem niezmiernie zazdrosnym, ale na różne figielki patrzącym a nic nie widzącym.

— Nie rozumiem pana — odrzekła Justysia poważnie, czuję tylko jakieś wielkie w tem... szelmostwo.

I dziewczynka w głos się rozśmiawszy, wybiegła do drugiego pokoju.

— Szelmostwo!—powtórzył w myśli Klemens.— A cóż na świecie nie jest szelmostwem? Wszyscyśmy szelmy tylko każdy na inny sposób, a największym najrozumniejszy. Głupia dziewczyna! Czas nauczy ją rozumu, ludzie dokończą edukacyi... czuwać jednak należy bo nie brak smakoszów.

W godzinę później, Klemens wszedł do kamienicy jednej z główniejszych ulic Warszawy, i wspiąwszy się na drugie piętro wprowadzony został do małego saloniku elegancko umeblowanego z machoniowemi sprzętami, ze stolikami zastawionemi różnemi drogocennemi gracikami, dywanami i posadzką lustrzącą się jak zwierciadło. Pomiędzy oknami mieścił się klęcznik obity czarnym aksamitem, nad nim wisiał obraz Matki Zbawiciela z palącą się lampką w srebrnej oprawie. Na kanapce przed stołem z dużą lampą, zasłanym wielkiemi księgami bogato oprawionemi, siedziała już niepierwszej młodości pani, sztywna i dość chuda, przybrana w jedwabną suknię obszytą koronkami. Zajęta była czytaniem listu świeżo z poczty przyniesionego, z taką pilnością, że nie zwróciła nawet uwagi na stojącego pokornie Klemensa. Miał on teraz minę bardzo potulną, daleką od swobody z jaką przed godziną rozmawiał z Justysią. Starał się nawet wrodzony sobie uśmiech szyderczy, ukryć pod osłonę dobroduszności i wielkiego poszanowania dla osoby, którą widział przed sobą.

Gospodyni była wdową po sędziu najwyższej instancyi, utrzymująca się z emerytury i procentu od sumy posagowej jaką wniosła swemu małżonkowi wychodząc za mąż za starca prawie, w wieku już dobrze przejrzałego panieństwa. Znano ją w poufalszych kółkach panią Sabiną, a w więcej przestrzegających etykiety panią referendarzową, bo na tytuł sędziny krzywiła się i zawsze dawała do zrozumienia, że go nie lubi.

— A, to acpan, panie Bardzki — odezwała się wreszcie list składając i skinieniem wskazując krzesło, aby je zajął. — Cóż mi za wieści przynosisz?

— Zrobiłem co mi pani poleciła...

— Zrobiłeś? — zawołała z radością—tak prędko, to nie do uwierzenia. Siadaj proszę cię.

— Życzenie pani jest dla mnie rozkazem — odrzekł Bardzki zwijając się w kłąbek w uniżonym ukłonie i siadając na wskazanem krześle.

— Więc cóż? — z ciekawością zapytała pani.

— Poruszyłem wszystkie cyrkuły miasta, wszystkie księgi ludności przejrzałem, nie pominąłem policyi i wszystkich policyantów, wreszcie urządziłem...

— No, dobrze, dobrze — przerwała p. Sabina z pewną niecierpliwością—ale to rzecz arcy nudna a jam tylko ciekawa rezultatu.

— Ma pani referendarzowa dobr. zupełną słuszność—z nowym ukłonem odpowiedział Bardzki — że to rzecz arcy nudna, a ja pozwolę sobie dodać, że i bardzo kosztowna.

— O to możesz być acpan zupełnie spokojny.

— Ja też o tem nawiasowo tylko wspomniałem...

— A zatem? — przerwała p. Sabina.

— Pani Kraworska — odezwał się Bardzki — opuściwszy mieszkanie na Starem mieście, tylko na kilka dni wyjechała z Warszawy i mieszka teraz z siostrzenicą swą panną Stanisławą na pustkowiu dość od miasta oddalonem, w pośród ogrodu w dworku bardzo wieś przypominającym. Widziałem je obie.

— Czy mówiłeś co z niemi?

— Niech Bóg broni, ale znam je przecie bardzo dobrze.

— Szkoda! — mruknęła p. Sabina i po chwili dodała:

— Ale nie, lepiej się stało, że się nie domyśla nawet iż była poszukiwaną. Panie Bardzki, proszę cię zostaw mi jej adres jak najdokładniejszy, przy pierwszej chwilce wolnego czasu, nawiedzę ją. Siostrzenicy jej nie znam jeszcze a radabym ją bardzo poznać.

— Będzie to wielka radość dla pani Kraworskiej, gdy odbierze tak dotykalny dowód pamięci pani referendarzowej dobr. — odrzekł Bardzki z szyderskim uśmiechem jaki mimowoli przemknął mu się przez usta.

Pani Sabina nie dostrzegła tego chociaż zaraz rzuciła na niego spojrzenie badawcze, jakby podejrzywała jakąś myśl ukrytą w uwadze przez niego zrobionej. Zaspokojona, zamyśliwszy się chwilkę, mówiła dalej:

— Myślę właśnie, kiedy tę wycieczkę zrobić będę mogła, bo mam teraz tyle zajęcia, tyle interesów na głowie, a do tego bardzo być może, że lada chwila zmuszoną zostanę wyjechać do Krakowa. Może mi więc przed wyjazdem braknąć czasu na odwiedziny.

Pani referendarzowa zamyśliła się, Bardzki siedział milczący.

— Gdy to wszystko rozważę — mówiła dalej p. Sabina — lękam się niezmiernie, abym znów nie zmuszoną była trudzić kochanego pana Bardzkiego, poszukiwaniem mieszkania tej dziwaczki. Nieobecność moja może potrwać miesiąc a może i dłużej...

— Choćby i pół roku — przerwał Bardzki — a pani dobr. może być pewną, że cokolwiek się

stanie z panią Kraworską ja to będę wiedzieć natychmiast.

— Ah! to bardzo dobrze! — zawołała p. Sabina z radością i z uśmiechem żartobliwym dodała: — tylko zastrzegam sobie, aby się nie domyśliła, że jest śledzoną, bo niespodzianka przepadłaby bezpowrotnie, cel więc naszych poszukiwań byłby zupełnie chybiony.

— O to może być pani dobr. zupełnie spokojną. Gdyby się jednak powrót zbytecznie opuźnił, być bardzo może, że trafiłaby pani na wesele.

— Jakto? — przerwała p. Sabina—na wesele? Czy pani Kraworska idzie za mąż?

— Tego nie wiem, ale panna Stanisława to wiem, że ma konkurenta z którym się na zabój kochają.

— Co, co? — przerwała p. Sabina ze ździwieniem na przestrach zakrawającym. — Konkurenta? I któż nim jest?

— Młody akademik, Stanisław Stroński...

— Młody akademik! — powtórzyła p. Sabina oddychając swobodniej przechylając się ku tyłowi kanapy.

— Tak, pani, młody akademik, niepokaźna figura, ale jak mi powiadano, zakochany po uszy.

— Doprawdy? — zapytała p. Sabina z radością. — A panna czy go kocha?

— Naturalnie, że kocha. Stroński daje jej lekcye, a jak ma przyjść to panna o mało się nie zgubi co go tak wygląda niecierpliwie i przebiega od okna do okna, aby wypatrzyć czy nie idzie. Wszystkie te wiadomości mam od sług miejscowych, których uwagi nic nie ujdzie i obie na jedno się zgodziły, że Stroński szaleje za panną a panna za nim przepada.

— A to zabawne — odezwała się p. Sabina uważnie wysłuchawszy całego opowiadania. — To także niespodzianka swego rodzaju... zabawna, bardzo zabawna...

I nagle miarkując się dodała zupełnie poważnie:

— Bardzo ci wdzięczną jestem, za tę wiadomość panie Bardzki, radabym poznać młodzieńca co to za jeden i jakie ma przed sobą widoki. Przy stosunkach możnaby mu znaleźć odpowiednią posadę i przyspieszyć małżeństwo, którego z upragnieniem zapewne wygląda. Chciałabym bardzo zrobić im tę przysługę.

— Jakie ma widoki i jakie jego położenie — odrzekł Bardzki — nie wiem, ale domyślam się, że nie musi być bardzo świetne. Sługi powiedziały, że kuso koło niego, co potwierdzał mundur dosyć zużyty i buty łatane potężnemi plastrami skóry. Ale jeżeli pani życzy sobie bliższych szczegółów o tym aspirancie do małżeńskiego stanu, to mogę się o nim dowiedzieć...

— O! i owszem bardzo proszę — odezwała się p. Sabina.—Wszystko co tylko dotyczy pani Kraworskiej i mnie obchodzi wielce, a kto wie, czy nie wyrządzę jej przysługi, za którą będzie mi wdzięczną niewymownie.

Kiedy Bardzki pożegnawszy się z p. Sabiną, znalazł się sam na schodach, szepnął w myśli, zaciskając usta:

— Baba kuta na cztery nogi, ale podkowy ma już troszkę przytarte i przez nie przegląda coś czego nie umiem sobie wytłomaczyć. To takie pilne śledzenie tej drugiej baby z siostrzenicą, to wielce podejrzane! Przyjaźń! baj boju, za stary ja wróbel na przynętę z plew ulepioną. Dlaczego jednak przy wiadomości, że ta młoda synogarliczka idzie za mąż tak się przestraszyła. Oczy babie ledwo nie wyskoczyły z oprawy, a nos zrobił się spiczasty jak rożen. Czyby ją komu innemu przeznaczyła? Ależ w takim razie nie radowałaby się wiadomością, że panem młodym pragnie zostać Stroński. No, no, jest w tem jakaś tajemnica, jakieś szelmostwo, jak Justysia powiada, trzeba się mieć na baczeniu, bo przeczuwam w tem wszystkiem grubą rybę, z której źleby było gdybym choć jednego dzwonka nie urwał. Muszę się zobaczyć z Wosiem filozofem, niedbalec to wielki, ale łeb bardzo rozgarnięty, czasem taką myśl rzuci, że warta talara jak recepta doktorska.

Wosio był subiektem w księgarni rosły, barczysty, wyglądał z powierzchowności więcej na siłacza łamiącego podkowy jak na człowieka z książkami zbratanego. Brwi gęste, krzaczyste niemal na oczy spadające, nadawały mu wyraz ponury, ale gdy spojrzał oko w oko i zaczął mówić, wrażenie to niemiłe niknęło i Wosio stawał się dobrodusznym, przyciągającym, pełnym nawet niepojętego smętku współczucie wywołującego. Bardzki lubił go a nawet wielce cenił, bo o ile we wszystkiem widział podstęp, podejście pragnienie wyzysku a nawet oszustwo, o tyle Wosio pełen był prostoty i o nic złego nikogo nie podejrzywał. Było to zupełne przeciwieństwo dwóch najróżnorodniejszych usposobień, mimo to lubili się z sobą a nawet przyjaźnili, dopełniali się niejako w zapatrywaniu na świat i jego sprawy, i Bardzki słabł przy nim w swem niedowierzaniu a Wosio stawał się praktyczniejszym i mniej ufającym.

(*D. c. n.*)

---

## Korespondencya z Pragi Czeskiej.

Według danych z lat ostatnich, wychodzi w Czechał ogółem 202 pisma peryodyczne w tej liczbie 101 czeskich, 96 niemieckich i 5 czesko-niemieckich Oprócz tego na Morawie egzystuje 71 pism z których 19 czeskich, 50 niemieckich i 2 czesko-niemieckie. Szląsk zaś posiada 20 pism w liczbie tej 2 czeskie i 3 polskie, reszta niemieckie. Razem przeto w Czechach na Morawie i Szląsku istnieje: 122 pism czeskich, 7 czesko-niemieckich, 161 niemieckich i 3 polskie na Szląsku. Ażeby lepiej określić stosunek tych pism do narodu, rozpatrzymy się w główniejszych organach, bo o wszystkich mówić nam tu niepodobna.

„Narodni listy" i „Pokrok", na wzór innych dzienników niemieckich lub francuzkich, od niejakiego czasu wychodzą dwa razy na dzień t. j. rano i wieczór. „Narodni Listy" są jednym ze starszych organów w Czechach, założone w 1861 roku, stanęły pierwotnie na straży interesów czeskich, i od tego czasu różne przechodziły koleje... Wydawca ich jest dr Juljusz Gregr, jeden z wybitniejszych członków nowego stronnictwa narodowo-postępowego, które obecnie zakwaterowało się tam na dobre, nie zajmuje tu żadnego prawie stanowiska, a zdolność swoją i pojęcia polityczne utopił przeważnie w handlu księgarskim. Główną i najwybitniejszą jednak osobistością w „Narodnich Listach" jest pan Józef Barak, jeden z dawniejszych współpracowników tego pisma, obecnie odpowiedzialny redaktor.

Podczas niespokojności w 1863 roku, pan Barak wysłany był tam jako korespondent, za co odsiedział czas jakiś w więzieniu politycznem na zamku krakowskim.

Wreszcie wszyscy młodsi współ-pracownicy stanęli wówczas jako przeciwni polityce Riegra i Palackiego i gorąco współczuli z cierpiącymi, co wywołało nieporozumienie pomiędzy całą prasą. Rieger wystąpił z „Narodnich listów" aby tam więcej nie powrócić i obecnie jest naczelnikiem tej partyi, której interesa koncentrują się w „Pokroku" (Postępie). Jeżeli „Narodni listy" agitacyami wywołują żywszy ruch w umysłach czeskich, to „Pokrok", trzymając się mniej więcej tej zasady co „Czas" krakowski, chce zdążać powoli i legalnie do celu.

Redaktorem „Pokroku" jest pan Turnowski, literat krytyk. „Pokrok" powstał w siedm lat po „Narodnich listach", otwarto go po raz pierwszy w 1868 roku.

Największą jednak jego zasługą jest ta, że sądy wydaje ostrożnie, największą zaś wadą, iż się ogląda na to, co powiedzą ministrowie. Wprawdzie częstokroć się zdarza mu, iż uczyni krok na przód, ale to jedynie dlatego, aby potem o dwa się cofnąć. Z innych dzienników tejże kategoryi, oprócz wielu prowincyonalnych zasługują na uznanie „Czech" organ partyi klerykalnej (redaktor Sztulc) wychodzący od roku 1869, pismo ultra katolickie, lecz poważne i konsekwentne, oraz najmłodsze „Czeskie nowiny" zajmujące się przeważnie sprawami ekonomiczno-społecznemi.

Do gazet politycznych czeskich z wybitniejszym kierunkiem musimy zaliczyć także „Politik", a chociaż organ ten wychodzi w języku niemieckim, jednakże przeznaczonym jest jedynie dla popierania spraw czeskich po za obrębem kraju.

„Politik" zalicza się do starszych dzienników z czasu odrodzenia, założony w 1862 roku przez Skrejszowskiego, oddziaływał bardzo pomyślnie w sprawach czeskich, po za obrębem kraju i państwa. Obecnie zaś stanowi własność osobnego konsortium, w skład którego wchodzą członkowie czeskiego klubu, skoncentrowanego w radzie państwa.

Z pism poświęconych przeważnie kwestyom społecznym, a szczególniej traktującym sprawy samorządu w Czechach jest organ pana K. Cziżeka p. t. „Samosprawni Obzor". Obok niego musimy zaznaczyć cztery pisma socyalne, a mianowicie „Buducznośt" (Przysłowość), „Dzielnickie listy" (Listy rzemieślnicze), „Prawda" i „Prowo", które zajmują stanowisko zupełnie odrębne i którym nawet radykalne często „Narodni listy" wydadzą się organem zacofanym i szkodliwym.

Z tygodników wybitniejsze stanowisko zajmuje obecnie „Lumir", którego redaktorem od niedawna jest Sladek, „Lumir" zajął zupełnie odrębne stanowisko w piśmiennictwie czeskiem. Jest on reprezentantem idei kosmopolitycznych, ogólnych. Na sprawy czeskie zapatruje się z punku cywilizacyi europejskiej i dlatego jest w piśmiennictwie czeskiem niechętnie widzianym. Proteguje go jednak przeważnie młodzież uniwersytecka pod której skrzydłami bezpiecznie wegetuje i dojrzewa.

Bezbarwnym tygodnikiem, choć przybranym illustracyami jest „Swetozor".

Redaguje go jeden ze zdolniejszych literatów czeskich, zajmujących się przeważnie etnografią czeską A. Sobotka. Wreszcie do innych tygodników zaliczyć możemy „Ruch", „Obzor" i „Diwadelne Listy", których redaktorem jest Howorka. Pomiędzy miesięcznikami zasługuje najwięcej na uwagę „Oswieta". Pan Vlczek redaktor, stara się nadać najszersze granice swemu pismu. Rze-

czywiście „Oswieta” redagowana jest bardzo starannie. W ostatnim lutowym numerze zamieściła między innemi artykułami, artykuł pana Kwapila o najnowszej nowelistyce polskiej.

Autor swój artykuł rozpoczyna Kraszewskim. Szczegółowe sprawozdanie zostawiam na później, ponieważ artykuł ten nie jest dokończonym.

Do miesięczników zaliczymy także „Kwiety” wydawane przez S. Czecha-poetę, i „Slowenski sbornik”, którego redaktorem jest Edward Jelinek. „Sbornik” ma obejmować literaturę całej słowiańszczyzny, a tem samem kreśli i najnowsze jej dzieje, jest więc pismem osnutem na ogólno słowiańskim stosunku.

Z prac umieszczonych w zeszłorocznym komplecie, najwięcej nas obchodzącą jest praca Jelinka „Polské pani a divky”, książka w której zużyty jest znaczny materyał tyczący się polskiej kobiety.

Ale oprócz tych miesięczników i tygodników są jeszcze inne specyalne pisma. W szeregu tych wybitniejsze miejsce zajmuje „Prawnik”, „Czasopis lekarzy czeskich”, „Żiwa”, „Chemickie listy”, „Listy filologickie i pedagogickie”, „Wszemir”, „Komenski” i t. p. Wogóle specyalnych pism spotykamy:

| | | |
|---|---|---|
| Poświęconych | pedagogice | 9 |
| „ | filozofii | 1 |
| „ | matematyce | 1 |
| „ | rolnictwu | 9 |
| „ | muzyce | 3 |
| „ | budownictwu | 1 |
| „ | przemysłowi i handlowi | 1 |
| „ | archeologii | 1 |
| „ | sprawom kościelnym | 6 |
| „ | młodzieży | 3 |
| „ | kwestyom kobiecym | 1 |
| „ | modom | 2 |
| pism humorystycznych | | 2 |
| | Razem pism specyalnych | 40 |

Czesi działalność dziennikarską rozwinęli również silnie nawet i po za granicami kraju. W Ameryce wychodzą „Dielnickie listy” (Gareta rzemieślnicza) wraz z tygodnikiem humorystycznym „Diblik”. Siedliskiem obydwu tych pism jest New-York. Traktują one przeważnie kwestyą robotników. Również w Chicago wychodzi podobneż pismo p. t. „Swornost” wraz z tygodnikiem „Amerykan” i dodatkiem humorystycznym „Duch czasu”. Wreszcie „Pokrok” czasopismo demagogiczno-anarchiczne wychodzące trzy razy na tydzień w Chewelande. Z pism tygodniowych tu po za oceanem zasługują na uwagę „Slawia”, najdawniejsze pismo czeskie w Ameryce, później „Dennice Nowowieku”, organ stowarzyszenia wzajemnej czesko-słowiańskiej pomocy, „Wiestnik Czikakshij”, „Hlas jednoty swobodomyślnych”, na którego czele stoi były ksiądz Władysław Klacla. Podobnym do tego pisma swoją tendencyą jest „Slowan Americki”, wychodzący w Jowie. Głosi on bezwzględny ateizm, dalej: „Hospodarz”, „Pokrok Zapadu”, „Wolnost”, „Bratrski wiestnik” i „Slowan Teksaski”.

Oprócz tych pism wychodzi jeszcze jedno katolickie pismo p. t. „Hlas”. Razem zatem po za oceanem wychodzi czeskich pism codziennych dwa, jedno trzy razy na tydzień, dwanaście zaś tygodniowych i dwa miesięczniki.

Przejdę teraz do spraw, które bezpośrednio nas dotyczą. Otóż w teatrze narodowym w Pradze ukazała się „Halka” arcydzieło Moniuszki. Główną rolę odśpiewała panna Reichowna, znana bardzo dobrze Warszawie.

„Halka” nie jest tu obcą. Przedstawiono ją po raz pierwszy przed piętnastoma laty, a ostatnie widowisko „Halki” odbyło się dnia 21 maja 1868 roku. Odtąd zamilkła, ale nie na wieki... bo „Halka” żyć będzie długo, bardzo długo...

Oprócz tego w tych dniach odbyły się w Pradze prawie równocześnie, aż cztery odczyty, z których każdy traktował rzeczy polskie.

Jeden z odczytów rzeczonych „O stosunkach literatów polskich” wygłosił dnia 20 stycznia, zajmujący się tak gorliwie naszemi sprawami pan Edward Jelinek, na tygodniowem zebraniu wydziału literackiego w „Umieleckiej biesiedzie”.

Tegoż samego wieczora dr A. Ruszal mówił „O zasługach Jana Sobieskiego pod Wiedniem”.

Odczyt odbył się na zgromadzeniu członków klubu nauczycielskiego (Beseda uczytelska). Wreszcie na posiedzeniu historyków odbytem w niedzielę dnia 21 stycznia b. r. profesor F. Kahlik wypowiedział swoją piękną a długą rozprawę osnutą na „Tle cywilizacyi polskiej z XVIII-go wieku”.

Czwarty zaś odczyt wygłosił na tygodniowem zebraniu stowarzyszenia „Slawia” pan F. Brożek.

Treścią odczytów były „uwagi z podróży po Polsce“. Otóż i dowody, jak Czesi interesują się nami.

*W. Cz.*

## ODCZYTY

### NA RZECZ OSAD ROLNYCH.

---

III.

Wojciech hr. Dzieduszycki przybył ze Lwowa dla wygłoszenia trzech prelekcyi *O stoikach, epikurejczykach* i *sceptykach.* Prelekcye te były dla słuchaczy prawdziwą biesiadą duchową, za którą należy się mówcy wdzięczność, a my pozwolimy sobie wypowiedzieć życzenia: abyśmy hr. Dzieduszyckiego mogli wkrótce znowu usłyszeć. Posiada on niezmierny dar porywania słuchaczy. Zrazu wymowa bez efektów, z organem mówiącego trzeba się oswoić, lecz w miarę wsłuchiwania się słowa nabierają życia, barwności i plastyki. Zdaje się nam, że widzimy przesuwające się żywe postacie dawnych greków i rzymian, że słyszymy ich mówiących. Życie tych narodów rozwija się przed oczami duszy naszej w całej pełni, a na takiem tle stają się nawet abstrakcyjne teorye zrozumiałemi.

Wykłady hr. Dzieduszyckiego odznaczają się ogromną ilością szczegółów i barwnością przedstawienia. Oba względy utrudniają streszczenie wykładu; będziemy się wszakże starali podać choćby najgłówniejsze rysy.

Bohaterska Grecya oddychała pełnią swobody, rozwijała się pomyślnie, żyła szczęśliwie. Pełno w niej było państewek drobnych, samodzielnych, niezależnych. Każde radziło o swych potrzebach, nie potrzebując się oglądać na sąsiednie. Ideałem formy rządu była rzeczpospolita. Każdy obywatel był jej ogniwem, każdy jego krok, czyn, był stosowany do dobra ogólnego. To też życie prywatne usuwało się zupełnie z planu pierwszego, nie myślano o życiu dla siebie, bo każdy żył w państwie, które nie istniało dla jednostek, lecz dla wszystkich.

W pojęciach takich wychowywano nowe pokolenia, wpajano je silnie, upatrując w dobrem zrozumieniu idei, pomyślny rozwój społeczeństwa.

Znakomici teoretycy, jak Platon i Arystoteles marzyli o wydoskonaleniu organizmu rzeczypospolitej. Pierwszy z nich stworzył system do najwyższego stopnia wyidealizowany, drugiego projekt miał wprawdzie więcej prawdopodobieństwa, lecz nie przeobleki się nigdy w szaty żywotne.

Tymczasem wypadki gotowały Grecyi zmianę losu. Termopile, Maraton, zapisały się w dziejach bohaterów złotemi głoskami — lecz pod Cheroneą rozegrał się los półwyspu heleńskiego stanowczo. Zniknęły drobne państewka — pozostało jedno ogromne, potężne, którego twórcą był Aleksander Wielki. Zmieniły się stosunki nie do poznania. Nie jednostki o państwie, lecz państwo o jednostkach myślało. Wśród dobrobytu, jaki z dniem każdym wzrastał, mógł każdy oddać się życiu prywatnemu, mógł kształcić się, pracować lub używać. Państwo myśli o wszystkiem i wszystkich. Nauka, którą przedtem każdy pielęgnował na własną rękę znajduje teraz protektorat rządu. Zakładają szkoły, akademie, protegują uczonych, których pierwszy gromadzi dwór macedoński. Nauka rozwija się swobodnie pomyślnie i rozchodzi za granicę państwa.

Na zachodzie istniały jeszcze dwie potężne rzeczypospolite: Rzym i Kartagina, lecz i te niebawem uległy wewnętrznej przemianie. Rządem zawładnął patrycyat, garstka arystokracyi, w której rękach spoczywał los całego kraju. Tłum od czasu do czasu hałasował i ucichał znowu. Uczeni stronili od takiej polityki, usunęli się w zacisze domowe, oddając się sztuce lub przemysłowi.

Kartagina walczyła długo, lecz upadła także.

Potęga Rzymu wzrasta, rozciąga się coraz dalej i szerzej, na zachód i wschód, na południe i północ aż do Słowiańszczyzny. Wraz ze zdobywczemi orłami rzymskiemi rozchodzi się po świecie cywilizacya rzymska. Nie była ona ich własnością, bo przeszczepiona z Grecyi zaaklimatyzowała się wkrótce. W odległych krainach Dacyi, Galii czy Brytanii uczą się Arystotelesa.

Rzeczpospolita patrycyuszów nie była wieczną. Nastała nowa zmiana w ustroju państwowym. Na czele potężnej Romy stanęli cezarzy. Indywidualizm bardziej się jeszcze zatarł. „W pośród małych ludzi — powiada prelegent — stał imperator na pozór wielki.“

Kiedy troska o byt i los państwa spoczęła na głowie jednego władzcy, lub wreszcie kilku czy kilkudziesięciu doradzców, jednostkom pozostało życie prywatne, filozofom badanie tegoż i myślenie nad jego udoskonaleniem.

I oto powstały rozmaite szkoły filozoficzne, które kolejno zdobywały sobie rozgłos, aby potem ustąpić miejsca innem. Był to jak się wyraził prelegent, stawek filozoficzny, po którym pływali parapetycy, stoicy, epikurejczycy, cynicy, sofiści i t. p. Najmniejszy wpływ na życie mieli pierwsi, nauka Arystofanesa była zbyt abstrakcyjna, zbyt mało mogła mieć praktycznego zastosowania. Posuwa ją naprzód drogą obserwacyi, jeden z gorliwych uczni, a twórca nowej szkoły *stoików, Zenon.*

Po długich badaniach teoryi i życia, zakłada Zenon w Atenach szkołę. Szkoła to, jak wszystkie ówczesne na otwartem miejscu, na wolnem powietrzu, w której wolno było słuchać każdemu, kto tylko miał ochotę, kogo nie znudziły wywody filo-

zoficzne. Wykładał Zenon sucho, zawile, niezrozumiale, ale przedmiot swój ukochał, do pojęć przetrawionych zapalał się. Filozofią podzielił na trzy części: logikę, fizykę i etykę, lecz tej ostatniej największą przypisywał wagę. Mawiał zawsze, że logika to pług, którym od czasu do czasu trzeba ziemię przerzucić, fizyka grunt, a etyka to owoc. O ten powinien filozof ogrodnik najwięcej się troszczyć.

W etyce widział Zenon przyszłość rodzaju ludzkiego. Z niej wypływa umiłowanie cnoty, a ta jest ostatecznym celem człowieka. Cnota jest jedyną mądrością, jedynem dobrem, dla niej powinno się poświęcić wszystko, choćby nawet życie. Bo czemże jest życie? Marnością dla tego, kto posiadł cnotę.

Zenon rozróżniał tylko mądrych i głupich, cnotliwych i występnych. Kto się nad życiem i jego ostatecznym celem nie zastanawia wcale, głupi jest i występny; kto się zastanawia i bada je, lecz żyje inaczej, głupi również i występny. I ten głupi, kto choć czasem w życiu zbacza z drogi cnoty, a jedynie mądry i cnotliwy, kto swe całe życie stosuje do najwyższej wiedzy stoika. W dobrej czy złej doli, zawsze człowiek winien być cnotliwym.

(*D. n.*)

## POGADANKA.

Bardzo często zaczynałem moje pogadanki od pogody, jako formy wygodnej i bardzo utartej. Dziś tego nie mogę uczynić, z obawy zapłacenia kary.

Rozmowa o pogodzie przeżyła się, stała się zbyt nudną i dlatego umówiono się w pewnem towarzystwie, że kto tylko zacznie mówić o pogodzie, zapłaci rubla na pomnik Mickiewicza. Umowa stanęła, ale nikt kary nie zapłacił, nikt się nie omylił i o pogodzie nie mówiono. Czy tak się bano by rublem nie przyczynić się do wzniesienia wielkiego pomnika, największemu z wieszczów? Czy chciano okazać siłę woli i panowanie nawet nad przyzwyczajeniem?

Mówiąc o pomniku Mickiewicza nie zawadzi zanotować, że na jego wzniesienie zebrano już *ośmdziesiąt sześć tysięcy złr.* Ostatnie obrady komitetu rokują zbliżenie się do celu, a nawet wybrano komisyą, którаby z kapitułą katedy na Wawelu rozpoczęła rokowania co do sprowadzenia zwłok Mickiewicza i umieszczenia ich w grobach zasłużonych mężów.

Posiedzenia komitetu będą się teraz odbywały częściej, a więc i rezultat może być rychlej osiągnięty.

Chwila obecna obfituje w jubileusze na scenie. Niedawno uczczono uroczyście Ostrowskiego, wspomniano o Micińskiej, a oto dwudziestego b. m. będzie obchodziła dwudziesto-pięcio-letni jubileusz zawodu scenicznego pani Bronisława Dowiakowska, primadonna naszej opery. Taki okres czasu w zawodzie śpiewaczki to rzecz niesłychanie rzadka. Głos się najczęściej wyczerpuje, słabnie, i wreszcie zostaje tylko wspomnienie. Pani Dowiakowska szczęśliwą może się nazwać. Dziś posiada jeszcze taką siłę głosu, że porywa słuchaczy najobojętniejszych, zwolenników czaruje. Co jej za największą musimy poczytać zasługę, to, że przez cały czas pracy scenicznej pozostała wierną Warszawie. Nie pojechała szukać sławy za górami i oceanami, choć jej obiecywano wiele i drogę chciano usłać kwiatami. Wolała skromny poklask swoich, byle zostać w kraju. Pracowała gorliwie, nie zdobywając ani brylantów, ani złota.

To też cieszymy się, że publiczność warszawska chcąc dać dowód, jak artystkę ceni, przygotowywa szczodry upominek.

W sztuce rozmaicie bywa, raz popłaca bardzo, to znowu skąpi nad wyraz. Jedni robią fortuny, drudzy z wawrzynem wprawdzie na skroni, idą przez życie biedni...

W Warszawie szczęściło się pewnemu *artyście* bardzo! Człowiek to był stary, bo umierając liczył lat 70. Zostawił po sobie majątku *26,000* rubli. Sumka to wcale pokaźna, osobliwie, gdy dodamy, że artysta ten był *kataryniarzem!*

Wiadomość ta, podana przez wszystkie Kuryerki, zachęci pewno nie jednego do szlachetnego zawodu kręcenia korbą i znęcania się nad uszami mieszkańców Warszawy. Toż to lepiej, jak jeździć do Ameryki...

Nie wszystkim bowiem pewno wiadomo, że Stany Zjednoczone podniosły podatek od wszelkich dzieł sztuki, z 10 na 30 proc. Rozumują rachunkowi Yankesi, że każde dzieło sztuki przywiezione na wystawę do Ameryki, wyciąga z kieszeni obywateli pieniądze, które następnie wraz z artystą wyjeżdżają do Europy. Rozumowanie to posuwają jeszcze dalej. Nietylko rzeźby i obrazy taką szkodę przynoszą bogactwu państwa, lecz i artyści śpiewacy, muzycy, trzeba więc i ich opodatkować!

I to są rozumowania państwa, które wogóle zniża podatki, bo ma przeładowane skarbnice i nowe na ten cel musi wznosić gmachy: państwa, które w ciągu ubiegłego roku wydobyło z kopalń złota i srebra *80,900,000 dolarów!*

Oj, ta Ameryka!

Oryginalny to kraj nad wyraz, co dnia wymyślają tam coś nowego, a każdy nowy wynalazek dziwaczniejszy, oryginalniejszy. Kobiety nie ustępują mężczyznom w niczem, a jeśli rywalizują z nimi w ubieganiu się o posady, choćby nawet prezydenta rzeczypospolitej, to równocześnie nie zapominają o sentymentach. Dziś np. wchodzą bardzo w modę albumy—włosów. Każdy z wielbicieli pięknej amerykanki, musi jej ofiarować pukiel włosów. Ciekawym jak sobie radzą łysi, lub ci, którzy noszą peruki?

Dobra to czasem rzecz, jest sentyment, tylko nie w Ameryce, gdzie się spotyka takie straszne dowody braku nie już uczucia, lecz poprostu cienia litości. Wszystko pędzi na złamanie karku byle naprzód, byle prędzej, byle nie dać się komu wyprzedzić. Konkurencya dochodzi rozmiarów nigdzie indziej nieznanych a wraz z nią wzrasta lekceważenie wszystkiego, co nie jest zyskiem.

Czyż nie dowodzi tego np. fakt, że w samych Stanach Zjednoczonych zawaliło się pod pociągami w ciągu ubiegłego roku *trzydzieści ośm mostów.* Ile ludzi w podobnych wypadkach życie utraciło, nie naliczyłby nawet.

Może to także należy do oryginalności?

Szukają jej wszędzie, wszędzie za nią gonią, choćby przyszło czasem popełnić nawet głupstwo lub rzecz niezupełnie godną? Naturalnie, że i w tem chęć zysku nie błahe ma znaczenie.

Drobne przykłady dowiodą, do czego to ludzie nie są zdolni.

Oto np. w Rzymie w pewnej kawiarni śpiewano przez cały wielki tydzień *Stabat Mater!* Prawda jak to miejsce na taką kompozycyą stosowne? Ale cel został osiągnięty. W kawiarni było gości pełno. Słuchali doskonale wykonanej pieśni... popijając kawę.

Przy grobie Julietty, którą uwiecznił Szekspir w „Romeo i Julii", wybudowano tawernę, gdzie można dostać wina, a bodaj czy wkrótce nie będą mieli piwa bawarskiego. Na samym zaś grobowcu, który jest licznie odwiedzany można widzieć tysiące kart wizytowych, często z rozmaitemi dopiskami. Zwyczaj to wprowadzony od niedawna, a choć w nim wiele sensu dopatrzeć się nie można, to jednak trzeba przyznać, że jest oryginalnie... śmieszny.

Nasi szynkarze wyzyskują także bliskość cmentarzy, bo wiedzą, iż nieosobliwa to rzecz, że człek zgryziony szuka zapomnienia czy pociechy—w kieliszku. Straciło się kogoś, co sercu drogi, straciło sporo grosza na pogrzeb, niechże się jeszcze straci na stypę...

W tem miejscu przyszedł nam do myśli pełen życia obraz M. Konopnickiej p. t. „Sobotni wieczór".

Od zgrzytającej zębami maszyny, powstał robotnik znużony, ażeby po tygodniowej pracy wziąć zapłatę, wyjść po za obręb dusznej atmosfery i odetchnąć wolnem powietrzem. Zapłatę dostał, wyszedł i zadumał się dokąd pójść. Myślał o wiośnie, ciszy, pogodzie i Bogu. Lecz myśl ta owionęła go tylko na chwilę. Pobudka do złego silną była, do dobrego za słaba. Nikt tej dobrej strony w robotniku nie wykształcił.

„Pomyślał, podumał i poszedł... do szynku!"

Smutne to ale prawdziwe.

*Es. Zet.*

## Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Pan Faustyn Świderski, dawny współpracownik „Wolnych żartów" a obecnie piszący do wszystkich naszych pism humorystycznych pod przybranem nazwiskiem Eks-Bociana, w jednym ze swych listów prywatnych powiada:

„U mnie tu nic nowego — zdrowi jesteśmy dosyć, a sam, chociaż nie wyglądam jak Basza turecki, tylko jak śledź holenderski za grosz, jestem jednak w dobrym humorze i jeżeli nie umrę, to żyć mogę i sto lat, dla sławy państwa Będzińskiego i Europy.

Humor jest, bo był, pieniędzy nie ma, bo ich nie było, ale i za to niech będą Bogu dzięki. Żebyś ty wiedział mój bracie, co tu kapitaliści na prowincyi mają strachu, przed złodziejami i rabusiami, ile tu co noc wystrzałów na wiatr z rewolwerów dla odstraszenia Iradjawałów i Rinaldinich, ile tu wideł żelaznych, pałek dębowych, stoi przy łóżkach kapitalistów, tobyś sam, jeżeli masz jakie listy zastawne, w piec je rzucił.

Z tego powodu napisałem modlitwę, którą już „Gazeta Kielecka" wydrukowała, a którą ci komunikuję, abyś ją wręczył wszystkim Goliatom Warszawskim, do odmawiania rano, w południe

i w wieczór, za co dostąpią niezawodnie zupełnego odpustu.

— Dziękuję Ci o Panie! wielki, niepojęty!
Że jestem taki goły jak turecki święty —
Bo chociaż z ciężką biedą, w ciągłej jestem wojnie,
Ale jak się położę, to i śpię spokojnie —
Ani zbój, ani rabuś potomek Judasza,
Gdy spoczywam po pracy, w śnie mnie nie przestrasza,
Mogę we dnie, czy w nocy używać spacerów,
Bez wideł, karabeli i bez rewolwerów —
Dziękuję Ci za dowód łaski oczywisty,
Żem choć goły weselszy od kapitalisty.

*Faustyn Świderski*
Ex-Bocian.

⁂ O kolonii polskiej w Tobolsku czytamy w dziennikach co następuje:

W r. 1863 — 64 przebywało w Tobolsku parę tysięcy Polaków z różnych sfer społecznych; wielu umarło, inni powrócili do kraju i obecnie pozostaje tam około 500 osób płci obojej, które wytrwałą i ciężką pracą zdołały zapewnić sobie byt materyalny. Głównem ogniskiem moralnego życia jest kościół, a plebania miejscem zbierania się po nabożeństwie. Kościół jest niewielki ale nader starannie utrzymywany i niezbyt dawno z gruntu odnowiony. Ogródek z którego malowniczy roztacza się widok, zapewnia w lecie chłód przyjemny, wybór tylko miejsca na kościół i plebanią jest nieodpowiedni, gdyż grunt jest błotnisty, wina to budowniczego, który mając do rozporządzenia odpowiednie fundusze, niczem nie był skrępowany. Z darów prywatnych powstała przy plebanii biblioteka, która jednak obecnie znajduje się w bardzo opłakanym stanie, gdyż skutkiem wypożyczania z niej książek do różnych miejscowości, wiele ich zaginęło lub wróciło niekompletnych. Cała ta garstka rodaków naszych żyje zgodnie i wzajemnie sobie dopomaga, miejscowy klub „szlachecki" prenumeruje jedno z illustrowanych pism warszawskich, dla licznie uczęszczających do niego czytelników.

⁂ Kolonia polska w Berlinie w ubiegłe święta wielkanocne zebrała się w kościele i po nabożeństwie ze śpiewem polskim, odprawionem przez jednego z tutejszych polskich księży, urządzono składkowe święcone w przytułku dla przebywających w nim rodaków. Prócz tego Towarzystwo św. Jana Kantego, obdarzyło święconem 30 ubogich rodzin polskich, zaś w lokalu towarzystwa polsko-katolickiego, zebrało się około 70 młodych przemysłowców na wspólne święcone, a w drugie święto urządzono przedstawienie teatralne.

⁂ *Co będzie z naszych dzieci?* Zapytanie to postawił w „Deutsche Zeitung" jakiś przerażony kulturtreger z pod Jindrzichowego Hradca, w Czechach, widząc iż żywioł niemiecki wciąż tam słabnie, a czeski bierze górę. Na to odpowiada mu „Pokrok", że jeśli dzieci jego wychowają się i wyrosną, będą z nich *ludzie*, zarówno jak są nimi obecnie potomkowie niemieckich kolonistów z pod Pardubic, uważający się już za Czechów Osiedli tam Niemcy, mając zamiar stale osiedlić się w obranej siedzibie, powoli stawali się Czechami. Co się tycze Jindrzichowego Hradca, zamieszkali tam Niemcy już obecnie mówią tak źle po niemiecku, że ich prawdziwy niemiec nie może zrozumieć. Zresztą miasto to nigdy nie było przeważnie niemieckiem. Przemieszkiwali tam czas jakiś renegaci urzędnicy, a nawet za Bacha, w roku 1857, na 10,000 ludności było tylko 400 Niemców. Jak pamięć zasięga, pisze dalej „Pokrok", miasto było zawsze czeskiem i da Bóg zawsze czeskiem pozostanie. A przecież dla tych kilkudziesięciu mieszkających obecnie w Hradcu Niemców, kulturtreger domaga się przeważnych przywilejów, zniesienia szkół i ograniczenia praw Czechów — zdaje się krótsza byłaby sprawa, aby się wynieśli i poszli skąd przywędrowali.

⁂ Strach na zwolenników obecnie przyjętego tańca! Parę tygodni temu odbył się w Berlinie meeting baletmistrzów i nauczycieli tańca; po ożywionych rozprawach zapadł wyrok potępiający bezwarunkowo dzisiejszy taniec. Najwymowniejszem było przemówienie baletmistrza Sachsa: „Ilekroć, mówił, jestem na jakimś z dzisiejszych balów, zdaje mi się, że wszedłem do zakładu obłąkanych. Gdzież się podziała, w cóż się obróciła owa wielka, czysta sztuka, której celem było wyrobienie i uszlachetnienie ludzkiego ciała? spadła, niestety! nader nizko, stanowiąc jedynie jakieś fizyczne otumanienie... Jeźli taniec dzisiejszy nie ulegnie reformie, może stać się wkrótce nieobyczajną, godną potępienia skakaniną." Po tem, niewątpliwie uzasadnionem przemówieniu, przeszedł jednozgodnie wniosek reformy tańca, zgodnie z wymaganiami higieny i moralności.

⁂ Nie każdemu wiadomo, iż istnieje odrębny dyalekt irlandzki, który pod wpływem mowy angielskiej zaczynał powoli zupełnie wychodzić z użycia, tak że w początku b. stulecia, zaledwie lud wiejski umiał mówić i pisać po irlandzku. Wraz z obudzonem skutkiem prześladowania uczuciem patryotycznem, rozbudziło się jednocześnie w Irlandczykach zamiłowanie ich zapomnianej rodzinnej mowy. W następstwie tego, zawiązało się stowarzyszenie „dla krzewienia języka irlandzkiego", które w r. z. rozdało 68,000 elementarzy. W r. 1872 było już 818,000 mówiących i piszących po irlandzku, a pomimo, że od owego czasu, ludność zmniejszyła się o 252,000, jedrakże jeszcze 132,000 Irlandczyków przyswoiło sobie język rodzinny, który dziś posiada już 950,000. Fakt ten powinienby przekonać pana inspektora Lutza w Poznańskiem i innych podobnych mu „kulturtregerów" iż prześladując w szkołach język miejscowy, ku większej chwale germanizmu, najniezawodniej osiągną rezultaty wprost przeciwne zamierzonemu celowi. Bodaj tylko znaleźli w miejscowych mieszkańcach siłę oporu równą tej, jakiej dowody dają Irlandczycy!

⁂ W Wiedniu powiodła się świetnie *maskarada włoska* urządzona na korzyść nieszczęśliwych powodzian Karyntyi i Tyrolu. Wielkie sale „Musikvereinu" przedstawiały przyozdobiony karnawałowo rynek włoskiego miasta. Balkony przystrojono kobiercami i festonami, w poprzek ciągnął się łańcuch lampionów i chorągwi, a karyatydy zostały zamienione w wesołe karnawałowe postacie. Odpowiednio myśli przewodniej, tłum zalegający sale przybrany był po większej części w stroje narodowe włoskie, a oprócz tego przesuwały się po sali oryginalne eleganckie maski i najrozmaitsze kostiumy. W parterowej loży przeznaczonej dla dworu, zajęli miejsce arcyksiążęta austryaccy, a o 10-ej ukazał się cesarz, powitany w imieniu komitetu przez pp. Nordmana i Streita, i usiadł w loży obok arcyksięcia Karola Ludwika. Wtedy rozpoczął się przy odgłosie muzyki pochód ludowych grup włoskich, bardzo charakterystycznie odtworzonych. Następnie po krótkim przestanku, rozpoczęła się „Comedia dell'arte" przedstawiona z drastycznym humorem, który najżywszą wywołał wesołość. Cesarz zdawał się bardzo rozweselony różnorodnemi kostiumami i zabawną sztuką i pozostał aż do końca komedyi, t. j. do $11^1/_4$. Z galeryi przypatrywali się książęta Cumberland i Nassauski jakoteż wiele osób należących do najwyższej arystokracyi.

⁂ W Wiedniu prowadzą energicznie przygotowania do wystawy elektrycznej, mającej być urządzoną na Praterze, w olbrzymim budynku zwanym Rotundą, pozostałym po wystawie powszechnej z 1873 r. Wystawa ta urządza się z inicyatywy prywatnej. Przed Nowym Rokiem zawiązał się komitet pod prezydencyą hrabiego Hansa Wilczka i barona Erlangera, celem doprowadzenia do skutku tejże wystawy, ktorej powodzenie obecnie zdaje się być zapewnionem, ponieważ najznakomitsze zakłady europejskie i amerykańskie udział w niej przyjmują. Od czasu wystawy francuzkiej, elektro-technika znaczne poczyniła postępy i wszystkie też najnowsze ulepszenia i wynalazki zostaną wystawione na widok publiczny w Rotundzie wiedeńskiego Prateru. Obok przedmiotów należących do zakresu poważnej nauki, przedstawione będą zabawne i ładne, i zarówno jak to było w Paryżu i w Monachium, muzyka poda dłoń elektryczności. Rotunda ma być połączona telefonicznie z operą wiedeńską i z operą w Beyreuth, gdzie wykonany zostanie „Persifal" Wagnera, a tak zwiedzający będą mogli słyszeć operę w tak wielkiej wykonaną odległości. Oprócz tego ma jeszcze być dokonane nader ciekawe i całkiem nowe doświadczenie. Miasteczko Baden (na południe Wiednia) i Tulln (na zachodzie) połączone być mają telefonami z centralnym pawilonem Rotandy — w jednem znajdować się będzie śpiewak, w drugiem fortepianista towarzyszący mu, tak więc tym sposobem jakaś wybrana melodya śpiewana w Baden a akompaniowana w Tulln, będzie słyszana przez słuchaczy siedzących spokojnie pod kopułą Rotundy w Wiedniu.

Wystawa ma zostać otwartą w sierpniu.

⁂ W kampanii węgierskiej z 1848/9 r. odznaczył się walecznością młody i przystojny żołnierz i dosłużył się też stopnia porucznika. Porucznik ten, pobierający 25 guldenów miesięcznej pensyi, brał niedawno udział w walnem zgromadzeniu honwedów — ale już w ubraniu kobiecem — była to bowiem pani Lepschik, która niepoznana wcale, odbyła całą niemal kampanią węgierską, w szeregach wojska. Dzienniki nie podają co mogło ją do tego skłonić.

⁂ W tym jeszcze miesiącu ma być otwartą w Paryżu wielka wystawa sztuki japońskiej, której urządzeniem ma zająć się p. Ludwik Gouse, redaktor „Gazety sztuk pięknych". Wystawa ta będzie bardzo zajmującą, ponieważ po raz to pierwszy można będzie widzieć zgromadzone w jednem miejscu wszystko co tylko sztuka japońska wydała najrzadszego i najciekawszego w ubiegłych stuleciach. Przedstawione tam będą okazy autentyczne, a nie zaś owe niegustowne produkta jakiemi Europa jest zarzucaną. Nadesłano umyślnie z Japonii przedmioty wielkiej wartości, przekonywające, że kraj ten tak długo zamknięty dla cudzoziemców, od dziesięciu już wieków cieszył się wysokim rozwojem sztuki, a w wiekach średnich artyści Kioto przyozdabiali ślicznemi malowidłami ściany pałaców mikadów.

⁂ Mało komu znane są nietylko dzieje ale nawet nazwa Chibchasów, tego plemienia indyjskiego wytępionego przez Hiszpanów. Nie pozostawili oni licznych pomników hieroglificznych, mieli przecież swoje tradycye starannie przechowywane przez

kastę kapłanów, ale po latach kilku zwycięzcy potrafili przywieść lud ten do zatraty tak zupełnej, iż nie pozostał ani jeden kapłan mogący opowiedzieć jego dzieje. Uniesieni dzikim jakimś fanatyzmem, Hiszpanie burzyli zapamiętale świątynie, święte przedmioty, rzadkie hieroglify, które poczytywali za utwór szatanów. Nawet nazwa ich mogłaby zaginąć, gdyż Hiszpanie nadali im całkiem inną, gdyby nie opisy pierwszych kronikarzy hiszpańskich, z których można powziąć pewne wyobrażenie o cywilizacyi tego ludu, któremu słusznie należy się zająć wydatne stanowisko na kartach dziejów nowego świata.

Założycielem ich cywilizacyi była postać legendowa, znana pod nazwami j. t. Hemterequeta, Hue, Chinzapagna i Rochica, mającemi prawdopodobnie oznaczać wysłańca bozkiego. Zstąpiwszy na ziemię, znalazł lud ten pogrążony w ciemnocie i barbarzyństwie, bez rządu, bez praw, bez religii. Najpierw tedy starał się nauczyć ich przędzenia i tkania bawełny, a długo żyjąc między nimi, dawał im z siebie przykład wszelkich cnót, uczył najpotrzebniejszych sztuk i rzemiosł. Postanowił obrządki religijne, prawa i administracye i nader gorliwie zajmował się położeniem kobiet. Naczelnicy pokoleń byli nieomylni i nietykalni, lecz prawym ich małżonkom przysługiwało prawo sądzenia ich postępowania, a w razie jakiegoś przewinienia mogły za karę do ośmiu razy uderzyć ich biczem. Niedość na tem, żona umierając miała prawo zakazać mężowi zawarcia nowych związków, jako zadośćuczynienie za złe obchodzenie się z nią podczas pożycia.

Chibchasowie karali surowo mężobójstwo, porwanie kobiety i hańbiące stosunki między krewnymi. Mężczyźni przekonani o tchórzostwo, skazywani byli na noszenie ubioru kobiecego i pracę kobiecą. Złodziei biczowano. Niektóre przestępstwa podlegały hańbiącej karze rozdarcia szaty. Kobieta podejrzana o niewierność, musiała gryźć pieprz czerwony, poczem oddawano ją w ręce kata, a jeźli wytrzymała próbę straszną przez kilka godzin, została uniewinnioną. Więzienia za długi nie było u Chibchasów, lecz naczelnik pokolenia wysyłał do niewypłacalnego dłużnika swego wysłańca i ten przywiązywał mu do drzwi młodego tygrysa lub niedźwiedzia (które zawsze w tym celu utrzymywano) i dłużnik musiał żywić i zwierzę i wysłańca aż do uiszczenia długu. W braku tych zwierząt, wysłany przez naczelnika pokolenia gasił ogień w domu dłużnika i nie dozwalał zapalić, dopokąd tenże należności nie zapłacił.

Przemysł Chibchasów zasadzał się głównie na wyrabianiu ozdobnych tkanin bawełnianych, hamaków, broni, narzędzi z kamienia i z drzewa. Wyrabiali także różne piękne przedmioty ze złota, posągi bóstw, zwierząt, wazony, diademy, pasy, oraz ozdoby z pereł do nosa i uszu, i nader sztucznie oprawiali wielkie muszle, zastępujące im kielichy i szklanki. W zamieszkałej przez nich miejscowości znajdowały się bogate kopalnie soli i słone źródła, z których przez odparowanie otrzymywali sól, stanowiącą główny przedmiot ich handlu zamiennego.

---

# NOWE WYDAWNICTWA.

Wydawnictw Kazimierza Bartoszewicza wyszły trzy tomy dzieł Ignacego Krasickiego i obejmują: Bajki i przypowieści, Satyry, Wiersze różne, Wiersze z prozą, Myszeis, Monachomachyą, Antymonachomachyą, Wojnę chocimską, Pieśni Ossyana, Przypadki Doświadczyńskiego, Historyą.

---

# Zawiadomienia.

## ZAKŁAD
## NAUKOWO-RĘKODZIELNICZY

pod kierownictwem

NATALII SMÓLSKIEJ,

*przy ulicy S-to Krzyzkiej Nr. 19.*

Przyjmuje uczenice na naukę pojedyńczych rzemiosł za opłatą rs. 5 miesięcznie. Za opłatą zaś miesięcznie rs. 15 odbywać się będą wykłady całych grup przedmiotów do jednej specyalności należących dla tych osób, które z nauki swej zapragną wyrobić sobie stanowisko fachowe. I tak:

*Dla Modystek* wykładane będą: krój sukien krój bielizny, stroje, szycie w ręku i na maszynie i część towaroznawstwa zastosowanego do tego zawodu.

*Dla gospodyń wiejskich:* Ekonomia domowa, Rachunkowość codzienna, Ogrodnictwo, Jedwabnictwo, wiadomość o drobiu i pszczołach.

*Dla poświęcających się kupiectwu:* Buchalterya i korespondencya handlowa, towaroznawstwo ogólne i nadto praktyka w sklepie Spółki tak co do kupna i sprzedaży, jak i prowadzenia rachunków.

Ponieważ dla rozpoczęcia kursu potrzebny jest komplet z 6-u osób, przeto Panie z prowincyi, dla dogodności, na naukę bądź pojedyńczych przedmiotów, bądź wymienionych grup, zapisywać się mogą listownie, adresując swe żądania do Natalii Smólskiej i nadsyłając pierwsze po rs. 5, drugie po rs. 15 i markę na odpowiedź, a o terminie rozpoczęcia wcześnie zawiadamianemi będą.

Zarząd Zakładu pośredniczy na żądanie w wynajęciu dla uczenic odpowiedniego lokalu i stołu w domach zacnych i przyzwoitych i rozciąga troskliwą opiekę nad temi, które mu przez rodziców powierzonemi zostaną. Na lokal i stół, pragnące takowych za pośrednictwem Zakładu, nadesłać raczą pod wyżej wymienionym adresem, miesięczną opłatę rs. 25.

### CZAS TRWANIA I SPOSÓB OPŁATY SĄ NASTĘPUJĄCE:

*Nauka fachowa w grupach opłata kwartalna po rs. 45 z góry.*

*Modniarstwo:* krój sukien, krój bielizny, szycie na maszynie i w ręku, stroje i część towaroznawstwa kwartałów 2 (miesięcy 6).

*Gospodarstwo wiejskie*: Ekonomia domowa, rachunkowość codzienna, Ogrodnictwo z praktyką podczas miesięcy letnich, Jedwabnictwo, Pszczolnictwo i hodowla domowego inwentarza do kobiecego gospodarstwa należącego — kwartałów 3 (miesięcy 9).

*Kupiectwo:* Buchalterya i korespondencya handlowa, Towaroznawstwo ogólne i obznajmienie z prawem handlowem — kwartałów 2 (miesięcy 6), a nadto praktyka przy sklepie za opłatą rs. 5 miesięcznie, czas krótszy lub dłuższy stosownie do woli uczenicy.

Lekcye odbywają się codziennie, po 2 godziny rano i tyleż po południu.

*Nauka pojedyńczych przedmiotów opłata miesięczna rs. 5 z góry.*

| | | |
|---|---|---|
| Krój sukien | miesięcy | 3 |
| „ bielizny | „ | 2 |
| Stroje | „ | 3 |
| Rękawicznictwo | „ | 6 |
| Introligatorstwo | „ | 6 |
| Buchalterya | „ | 6 |
| Kwiaty sztuczne | „ | 6 |
| Drzeworytnictwo | „ | 12 |
| Zegarmistrzowstwo | „ | 12 |
| Heliominiatury | „ | 2 |
| Retuszerya | „ | 6 |
| Koszykarstwo | „ | 6 |
| Rysunki zastosowane | | |
| Ekonomia domowa | „ | 3 |
| Koronkarstwo | „ | 3 |
| do rzemiosł | „ | 6 |
| Jedwabnictwo | „ | 6 |

Przygotowanie do Buchalteryi po rs. 4 miesięcznie
Przygotowanie do Korespondencyi „ 4 „

Lekcye co drugi dzień po dwie godziny.

Po ukończeniu kursu i zdaniu egzaminu, uczenice otrzymują świadectwa uzdolnienia.

---

Pragnąc coraz więcej rozwijać działalność opartą na zdobytem już zaufaniu Prenumeratorek Tygodnika Mód i Powieści, Redakcya ma zaszczyt podać do ogólnej wiadomości, że pod swym nadzorem urządziła pracownię wszelkich **ubrań i strojów damskich** nie wyłączając **bielizny** i oddawszy ją pod główny kierunek osoby należycie uzdolnionej, przyjmuje wszelkie obstalunki tak z materyałów jej powierzonych jak i z własnych, wykonywa je według najświeższych wzorów paryzkich, poręczając za staranne wykończenie i uczciwy stosunek z interesantkami.

Adres: **Do Redakcyi Tygodnika Mód i Powieści oraz Przyjaciela Dzieci — Widok Nr 3.**

---

Polki wyjeżdżające do Paryża, celem wykształcenia się w obranych przez siebie zawodach mogą znaleźć u jednej z rodzin polskich w tem mieście mieszkanie ze stołem, usługą i prawdziwie rodzicielską opiekę. Bliższą wiadomość o warunkach nader przystępnych, można powziąć w Warszawie w Redakcyi Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci Widok Nr 3.

Adres: HELENA DĄBROWSKA, utrzymująca Bióro informacyjno-nauczycielskie, Krakowskie-Przedmieście N. 43 w Warszawie. Imię HELENA należy zawsze dopisywać

---

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою, Варшава 29 Марта 1883 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

**Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 15, r. 1883.**

# NIEBEZPIECZNE MAŁŻEŃSTWA.

## I.

## TRZY ŻONY HENRYKA SMIRT.

PRZEZ

ANAIS SÉGALAS.

Przekład J. B.

I.

Piękne kupcowe.

— Pani!.. pani!.. wołała śliczna kwiaciarka do przechodzącej około jej sklepowej wystawy, — czy nie kupi pani odemnie bukieciku?

— Bardzo chętnie, odpowiedziała, i wziąwszy maleńki bukiecik fijołków za dwa susy, zapytała: „Co się należy?"

— Pięć franków łaskawa pani.

Przechodząca pani zapłaciła nie targując się, wzięła bukiet i ukłoniwszy się odeszła.

Zaledwie się oddaliła, piękna kupcowa spostrzegła zbliżającego się nizkiego paniczyka, z ciągłym na ustach uśmiechem, wystrojonego i ufryzowanego podług najświeższej mody, słowem jedną z tych laleczek tak licznych w salonach. Był to wice hrabia de Préfleury, śmieszny i pretensyonalny, ale bardzo bogaty młodzieniaszek.

Gdy stanął przed sklepem, kwiaciarka śmiejąc się włożyła mu kamelię w dziurkę od guzika, z czego nadzwyczaj był zadowolniony. Z daleka mogło to zakrawać na wstążkę Legii honorowej, a nie mógł się łudzić żeby kiedykolwiek w życiu miał prawo do posiadania rzeczywistej.

Jakąż cenę Jutrzenka nakłada na swe kwiaty? zapytał słodkim, pieszczonym głosem.

— Bardzo nizką, dziesięć franków sztuka.

— To prawie darmo, odrzekł, wyjmując dobrze wypchaną portmonetkę.

I zabierał się odbywać dalej przegląd sklepów bazaru, gdy zatrzymała go przedstawicielka sąsiedniej wystawy.

— Panie wicehrabio, wołała nizka brunetka, nie ominiesz przecież mego sklepu, kupisz choćby parę rękawiczek. Mam prawdziwe kozłowe, w najlepszym gatunku. Można śmiało przymierzać — żadna się nie rozedrze... Jakiego pan żąda koloru i jakiego numeru?

— Jasno popielate, numer $7\frac{1}{2}$ jak na kobiecą rękę.

— Oto są.

— Jaka cena?

— Dwadzieścia franków.

— Ach!.. ale mam nadzieję że pani zechce mi przymierzyć.

— Najchętniej — ale w takim razie zapłaci pan czterdzieści franków.

— A!.. zgoda, dodał po chwili wysuwając rękę.

Nizka brunetka zaczęła dość niezręcznie wkładać mu rękawiczki; gdy włożyła obiedwie, wicehrabia rzucił na komtuar dwie sztuki złota, uśmiechnął się wdzięcznie, ukłonił i odszedł myśląc sobie:

— Czterdzieści franków, to djabelnie drogo! ale mniejsza o to! postąpiłem prawdziwie po pańsku.

Jak tylko wicehrabia się oddalił, nizka brunetka zwróciła się do swej sąsiadki kwiaciarki, mówiąc:

— Dość dowcipnie się znalazł, ale co prawda cały też dowcip jego zasadza się na pełnej portmonetce — o innym nie ma pojęcia... Ale wiesz, hrabino, niemiłosiernie okradamy kupujących — ale trudno, wszak to dla biednych!

Czytelnicy odgadli niezawodnie że był to bazar na dochód dobroczynności, urządzono go w salonach jednego z ministrów. Kwiaciarką była hrabina; margrabina sprzedawała rękawiczki, nieco dalej ambasadarowa ciastka i cukierki, a księżna różne wyroby galanteryjne.

Wszystkie panie odgrywały jak mogły role kupcowych; bawiło ich że wyrażały się żargonem sklepowym, spełniały swe zadanie wesoło, powodowane miłosierdziem, a może więcej nieco zalotnością. Niezaprzeczenie do zostania kupcowemi skłaniała ich filantropia i religia, ale spełniając ten dobry uczynek starały się bardzo o to aby jak najładniej wyglądały; były to więc anioły pięknie, kosztownie i jak najmodniej ustrojone. Niebo zapewnie przyznawało im pewną zasługę za urządzenia tej sprzedaży, ale i szatan śmiał się mileczkiem z ich próżności.

Zresztą doskonale wywiązywały się ze swego zadania; uprzejmością, słodkiemi słówkami i spojrzeniami nęciły kupujących, umiały wyciągać sztuki złota z najszczelniej zamkniętych kieszeni. Dzięki temu, sprzedawały towary swoje po bajecznych cenach. Najchętniej zwracały się do mężczyzn licząc na to że przez galanteryę nie będą śmieli odmówić. Głównemi ofiarami byli kawalerowie; wszak bywali w ich domach, a nie mogąc odprosić do siebie, powinni korzystać z bazaru na dobroczynność, aby im się wywzajemnić. Kto zjadał kolacye lub obiady w domu światowej damy, nie może w żaden sposób odmówić jej kawałka chleba dla biednych.

Nizka brunetka z niebieskiemi oczami, tak drogo sprzedająca rękawiczki, była to ładna trzydziesto letnia margrabina, żywa, śmiała, nieco wyzywająca i szyderska. Jak wiele pań światowych, była ciekawa, mówiąca wiele i bez zastanowienia, lubiąca wiedzieć wszystko, rozpowiadać nowinki, chełpić się ze swego złośliwego dowcipu, który zaprawiała na bliźnich swoich, bawiąc ich kosztem siebie i innych.

Pani margrabina de Forgy znała wszelkie salonowe intrygi i ploteczki, znała rodowód, wiek, tajemnice i śmiesznostki wszystkich wybitniejszych osób; w pamięci jej zapisane były akta osobiste każdego, i rozklasyfikowane jak akta klientów w kancelaryi notaryusza. Nie była jednak zazdrosną aby miała chcieć sama tylko korzystać ze swych wiadomości historycznych — przeciwnie, dzieliła się niemi ze wszystkiemi oddając wizyty, na wieczorach i balach, a nawet w swoim sklepie urządzonym w celu miłosiernym, zabawiała kupujących ustępami z historyi tegoczesnej.

W niewielkiej odległości od sklepu obu pań, przechodził pan jakiś dystyngowanej powierzchowności, z twarzą pociągającą miłym wyrazem, mogący mieć lat czterdzieści kilka do piędziesięciu.

— Oho! tego pana warto zachęcić do kupna, zawołała pani margrabina de Forgy, wskazując prze-

chodnia pięknej kwiaciarce, hrabinie de Mirval.

— Czy znasz go pani? zapytała hrabina.

— Ależ ja znam wszystkich, odrzekła. Wprawdzie nie mówiłam z nim nigdy... ale znam go z widzenia i wiem jak się nazywa. Jestto pan d'Armangis; dość długo zajmował wysokie stanowisko w administracyi którejś kolei żelaznej, i porzucił te obowiązki dorobiwszy się znacznego majątku. Byłby to dla nas nader pożądany kupujący, jeźli więc zbliży się nieco, trzeba użyć wszelkich środków aby go przywabić. Nie żałujmy słodkich słówek, najpowabniejszych spojrzeń i uśmiechów — nie zgrzeszymy, bo to przecie dla korzyści biednych.

Jakoż jak tylko pan d'Armangis doszedł do sklepów dwóch pięknych kupcowych, pani de Mirval umiejąca równie zręcznie jak margrabina obdzierać ludzi dla miłości Boga, stanęła pod bronią. Orzuciwszy pana d'Armangis spojrzeniem pełnem nieprzepartego uroku, rzekła najsłodszym głosem:

— Patrz pan jaki prześliczny jest ten bukiet z białego bzu; nie znajdzie pan świeższego ani poetyczniejszego... mógłbyś zrobić komu nader pożądany podarunek.

— Ma pani słuszność, odrzekł kłaniając się; chętnie kupię bukiet dla zrobienia przyjemności sprzedającej go kwiaciarce. Racz pani oznaczyć cenę.

— Bagatelka — tylko sto franków.

— Wcale nie drogo, odrzekł z uśmiechem, wziął bukiet i zapłacił żądane sto fr.

Margrabina z swej strony nie żałowała słodkich słówek i wszelkich sposobów do jakich uciekają się improwizowane kupcowe dla złowienia kupujących. Pan d'Armangis nie chcąc odmawiać kupił parę rękawiczek za naznaczoną przez nią cenę, i odszedł uprzejmie ukłoniwszy się obu paniom.

— Widać że pan ten należy do najlepszego towarzystwa, rzekła pani de Mirval.

— Tak, a obok tego posiada milionowy majątek, dozwalający mu płacić po sto franków za bukiet bzu, który zaniesie pewnie jakiejś czerwonowłosej syrenie.

— Ale dlaczegóż przypuszczać...

— Dlatego, moja droga, że przypuszczając złe jesteśmy pewniejsi że się nie mylimy. Iluż to panów daje się usidłać tym zbyt pospolitym pięknościom z lasem rudych włosów na głowie, lasem gorejącym którego każdy morg... chciałam powiedzieć każdy lok, zapłaciły pewnie po dziesięć franków.

Dzień miał się ku schyłkowi, nabywców było coraz mniej, tak więc mając mniej zajęcia, margrabina mówiła teraz coraz więcej.

W tem nagle wrok jej zatrzymał się z ciekawością i przerażeniem zarazem, na młodym człowieku przechodzącym w pewnej odległości.

— O! nieba! zawołała, to on!

— Co za on? zapytała pani de Mirval.

— Henryk VIII, odpowiedziała margrabina.

— Co! zawołała śmiejąc się hrabina de Mirval, ten pan kupujący ciastko, ma to być Henryk VIII, kat Anny Boleyn i Katarzyny Hovard, angielski Sinobrody, legendowy potwór z szesnastego wieku?... To niepodobna, kochana margrabino, żyjemy przecie w końcu XIX stulecia.

— Tak, jest to nieprawdopodobne a jednak prawdziwe—a jeżeli to nie on, to w każdym razie kopia równająca się orginałowi. Młody ten człowiek jest rzeczywiście tegoczesnym Henrykiem VIII; nosi nawet imie swego poprzednika, gdyż nazywa się Henryk Smirt. Wprawdzie nie miał dotąd sześciu żon jak straszny król angielski, pochował tylko dwie — to niby nie wiele — ale ma czas przed sobą; mówią że liczy dopiero trzydzieści dwa lat, może więc jeszcze bardzo uzupełnić pół tuzina żon.

— Doprawdy, zaciekawiasz mnie, kochana margrabino, i chciałabym bardzo wiedziéć...

— Nic łatwiejszego, odrzekła pani de Forgy, zadowolniona że ma co opowiadać. Pierwszą żonę stracił w sześć miesięcy po ślubie — umarła nagle. Założył krepę na kapelusz a w rękę ujął lornetkę dla szukania drugiej żony, którą też znalazł niebawem i ożenił się w trzy miesiące po śmierci pierwszej. Ale niedługo i druga żona zaczęła niknąć powoli; stawała się codzień niemal szczuplejszą i bledszą — i nakoniec w końcu roku umarła wśród okropnych męczarni. Zapewniają, dodała zniżając głos, że pierwszą otruł gwałtowną, piorunującą trucizną, drugą zaś działającą powolnie; zmieniał metodę dla urozmaicenia swoich krwiożerczych przyjemności.

— Chyba pani żartuje, rzekła przerażona pani de Mirval.

— Nie żartuję bynajmniej, odpowiedziała poważnie margrabina; straszne podejrzenia ciążą na tym człowieku, wszystko dozwala wnosić że to istny potwór. Ten pan Henryk Smirt, dziś jak mówią bardzo bogaty, przybył tu zkądś z prowincyi bez żadnego majątku. Najpierw został dependentem u któregoś notaryusza; po pewnym czasie, uznając zapewnie że to nieodpowiednie dla niego, porzucił prawo i zaczął uczyć się medycyny. W tem niespodziewany jakiś spadek zapewnił mu 5,000 fr. dochodu, w skutku czego umyślił raz jeszcze zmienić zawód, i zamiast zostać doktorem, dorobić się majątku przez ożenienie. Było to i łatwiejsze i prędzej prowadziło do celu. Prawnik czy doktor pracować musi długo i wytrwale, i nie zawsze jeszcze zostanie bogatym, gdy tymczasem dość upolować piękny posag, aby z dnia na dzień posiąść majątek. Postarał się o to aby zostać przedstawionym pewnej bogatej rodzinie; 5,000 fr. dochodu podobało się rodzicom, a piękność jego (bo trudno zaprzeczyć że potwor ten jest bardzo piękny) pomogła mu pozyskać serce córki, która idąc za niego wniosła mu 200,000fr. posagu. W połączeniu z jego majątkiem, zapewniało to wcale przyzwoity dochód, 15,000 fr. Pokazało się że nie darmo przebywał w kancelaryi notaryusza, gdyż nauczył się doskonale układać umowy przedślubne, i zamieścił w swojej warunek, stanowiący że po śmierci jednego z małżonków, cały majątek jego staje się własnością pozostałego przy życiu. A umiał wziąść się do tego tak zręcznie, przybrał tak czułą i bezinteresowną minkę, że nie odgadując podstępu, rodzice narzeczonej zgodzili się na to.

Ożeniwszy się, zaczął znów zgłębiać nauki lekarskie, oddając się szczególniej badaniom ziół uzdrawiających i zjadliwych, i utrzymują że nagła śmierć żony, była wynikiem tych jego głębokich badań.

Zostawszy wdowcem miał już piętnaście tysięcy fr. rocznego dochodu, stał się więc więcej wymagającym pod względem posagu, szukał i znalazł drugą żonę posiadającą 400,000 fr. co łącznie z już posiadanym majątkiem, zapewniało 35,000 fr. dochodu. Znowu więc ułożył umowę przedślubną na wzór pierwszej, a po ślubie znów zapewnie posługiwał się trucizną, tylko inaczej działającą; młoda kobieta stawała się coraz bledszą i coraz słabszą, przypuszczają więc że dawał jej powolną truciznę.

— Ależ to być nie może! zawołała pani de Mirval; podobnego zbrodniarza oddanoby pod sąd.

— Tak, gdyby były dowody... ale jest tylko podejrzenie.

— To niepodobna! odrzekła pani de Mirval ochłonąwszy nieco, gdy przypomniała sobie jak nieprawdopodone historye margrabina opowiada nie raz, jestto jakaś bajka na wzór baśni o Sinobrodym, do której nie należy żadnej przywiązywać wiary.

— Ach! zawołała margrabina nie słuchając jej i przypatrując się chodzącemu po sali Henrykowi Smirt, doprawdy, to straszna rzecz!

— Cóż znów takiego?

— Nie nosi już krepy na kapeluszu.

— I cóż to strasznego?

— To, że nie upłynęło jeszcze pięciu miesięcy od śmierci drugiej żony, skoro więc zdjął żałobę, widocznie chce żenić się po raz trzeci. A teraz będzie mu bardzo łatwo wziąść znaczny posag, ponieważ sam jest bogaty. Odziedziczył cały majątek dwóch pierwszych żon, stanowi więc świetną partyę. Zdjęcie krepy z kapelusza dowodzi że szuka trzeciej żony, czyli trzeciej ofiary.

II.

Apartament do najęcia.

Na fasadzie pięknego domu przy bulwarze Malesherbes, wisiała karta na której napisano wielkiemi literami: „Okazały apartament do najęcia."

Do domu tego zbliżała się kobieta elegancko ubrana, co chwila podnosząc głowę jak to czyni każdy szukający mieszkania. Od dwóch godzin chodziła po ulicach Paryża jak pokutująca dusza — była to margrabina de Forgy. Spostrzegłszy kartę, weszła do domu. Brama była okazała, schody wspaniałe, mieszkanie odzwiernego przedstawiało się dobrze, a pani odźwierna miała imponującą minę.

— Jest tu apartament do najęcia? zapytała margrabina.

Odźwierna objęła ją wzrokiem od stóp do głowy, a zobaczywszy same aksamity i koronki, odpowiedziała słodziutkim głosem:

— Tak pani, pierwsze piętro, a więc najpiękniejszy i najwygodniejszy w całym domu apartament, zajmowany zawsze przez dystyngowanych lokatorów. Odnosimy tam listy i gazety.

— Jakto? więc nie odnosicie ich na inne piętra.

— Ma się rozumiéć; co najwięcej do dużych apartamentow na drugim piętrze. Przecież odźwierny nie jest wiewiórką żeby skakał po wszystkich schodach. Lokatorowie wyższych piętr przysełają po nie do loży swoich służących, albo sami odbierają przechodząc.

— A tak!.. więc tym sposobem mogą nie raz zapomniéć—albo odbierać zaproszenia na ślub w dniu w którym małżonkowie podali się do separacyi, a zawiadomienia o urodzeniu gdy dziecko zostanie odstawione od piersi.

— Oh! zaręczam pani że nie zdarzyło się to nigdy, odrzekła odźwierna z najpoważniejszą miną.

— No! może przesadziłam trochę, odpowiedziała śmiejąc się margrabina.

— Niech pani raczy obejrzéć apartament, przekona się pani zarazem jak dobrze dom ten jest utrzymywany. Schody przepyszne, wyłożone dywanem, właściciel jest bardzo dobry... oświecony gazem.

— Doprawdy! ależ to doskonale, odrzekła margrabina, jeźli ten właściciel oświecony gazem jest

miły i przystojny — lecz jeźli jest brzydki lub nawet odrażający...

— Ależ nie zrozumiała mnie pani, odpowiedziała odźwierna nie żartująca nigdy, chciałam powiedzieć...

— Wiem! wiem!.. Czy to obszerny apartament?

— A jakże! przecież napisane na karcie: „Wielki apartament do najęcia.”

— Czy jest wolny?

— Jeszcze nie; lokator domieszka do kwartału, ale odda nic nie zniszczony. Jest sam jeden, nie zniszczy więc lokalu jak lokatorowie mający gromadę dzieciaków.

— Mieszka sam! więc jestto lokal kawalerski; nie będę oglądać gdyż byłby dla mnie za mały.

— Lokal kawalerski! zawołała odźwierna ze szlachetnem oburzeniem; sześć pokoi, wspaniały salon, wielka sala jadalna, piękny buduar, spiżarnia, ogromna kuchnia, trzy pokoje dla służby na czwartem piętrze — cena 7,000 fr. Nie, pani, dodała z godnością, nie jest to lokal kawalerski ale apartament wdowca.

— A! to co innego.

— I tu właśnie spotkało go nieszczęście że stracił żonę — i to jedyny powód dla którego się wyprowadza. Ale młodzi wdowcy chętnie powtórne zawierają małżeństwa; to też myślę że i ten dlatego zmienia mieszkanie iż nadto przypomina mu zmarłą, i że chce w nowem pocieszać się drugą... Przecież nie dlatego to mówię abym chciała obmawiać swych lokatorów.

— Naturalnie, tylko znasz świat i ludzi, odrzekła z szyderskim uśmiechem margrabina. Proszę pokazać mi ten apartament.

— Natychmiast. Panie Porchat, rzekła zwracając się do męża, który siedział sobie spokojnie nie mieszając się do rozmowy, niby król małżonek, czy nie wiesz czasem czy są goście u lokatora pierwszego piętra, i czy nie wyszli służący żeby nam miał kto otworzyć?

— Nie widziałem żeby kto wchodził lub wychodził, zapewnie pan Henryk Smirt jest w domu.

— Pan Henryk Smirt! zawołała pani de Forgy, lokator wasz nazywa się pan Henryk Smirt?

— Tak... Czy zna go pani?

— Znam ze słyszenia.

Pani de Fargy doznała bardzo silnego wrażenia; pomimo całej swej odwagi i skłonności żartowania ze wszystkiego, nie mogła pozostać obojętną na samą myśl że znajduje się w domu w którym mieszka Henryk Smirt, i ma wejść do pomieszkania w którem okropny ten człowiek miał otruć drugą swoją żonę.

— Niech pani raczy wejść, rzekła odźwierna wchodząc na schody.

— Idę, odpowiedziała.

Silny dreszcz przebiegał panią de Fargy, szła opierając się na poręczy. Przyszły jej na myśl straszne zbrodnie przypisywane temu Henrykowi Smirt; gdy przeszedłszy schody odźwierna zadzwoniła, serce margrabiny silniej bić zaczęło, zdawało się że dzwonek zadźwięczał ponuro, jakby jęk przedśmiertelny.

Lokaj otworzył drzwi.

— Pani chce obejrzéć apartament, rzekła odźwierna.

— Dobrze, oprowadź panią.

Pani de Fargy przeszła wszystkie pokoje, były ładne, obszerne, bogato umeblowane, ale puste, głęboka cisza zalegała wszystkie; nikt, żaden nawet dźwięk głosu nie przerywał jej rozmyślań. Rozglądała się do koła zarazem z ciekawością i trwogą, jak gdyby zwiedzała pałac Sinobrodego. Starała się odtworzyć sobie w myśli sceny jakich apartament ten był widownią; zdawało jej się że stąpa po deskach tragicznego teatru. Ochłonęła jednak powoli; samo nawet przerażenie zaczęło jej sprawiać jakąś dziką przyjemność, napawała się rozkoszą podnieconej ciekawości. Żałowała bardzo że Henryk Smirt był nieobecnym, gdyż pomimo przestrachu jakiegoby doznała gdyby przyszło jej spotkać się oko w oko z owym pięknym zbrodniarzem, przecież chciałaby go widzieć i mówić z nim, przyjrzéć się z blizka — daremnie — przeszła wszystkie pokoje nie spotkawszy go nigdzie.

— Oto mały salonik, rzekła odźwierna otwierając ostatni pokój.

Tu stało wielkie męzkie biurko — był to gabinet Henryka Smirt.

Margrabina rzuciła okiem na bibliotekę i zobaczyła ustawione obok siebie książki prawne i lekarskie, przypominające dwa dawniejsze zawody p. Smirt'a. Na małej etażerce stały flaszeczki różnej wielkości, jak to bywa w laboratoryach. Ani nawet na myśl nie przyszło jej że mogły być potrzebne do badań i doświadczeń chemicznych, była pewną że ma przed sobą zbiór najrozmaitszych trucizn.

— Niech pani raczy zwrócić uwagę że sztukaterye są złocone, a kominek rzeźbiony z białego marmuru.

Odwróciwszy głowę aby spojrzéć na kominek, spostrzegła nagle stojącego przed nim pięknego, młodego mężczyznę; nie zdołała powstrzymać lekkiego krzyku przestrachu — poznała Henryka Smirt.

Ukłonił się grzecznie, a widząc że przyszła obejrzéć mieszkanie, nie zajmując się nią więcej, zaczął grzać nogi przed kominkiem.

Niby oglądając pokój, margrabina bacznie przyglądała się jego mieszkańcowi. Dotąd widywała go tylko przechodząc, spotkawszy gdzieś przypadkiem — teraz dopiero mogła mu się dobrze przypatrzéć. Wlepiła w niego ciekawe, badawcze spojrzenie, zdolne wyczytać z czoła wszystkie tajemnice, odcyfrować hieroglify, nie pomijające najmniejszego szczegółu i jak słońce, zdolne za jednym rzutem zdjąć fotografię osoby.

Henryk Smirt miał na sobie przepyszny szlafrok; jego oczy, brwi, włosy, czarne były jak heban, co nadawało twarzy wibitny chociaż nieco ostry wyraz, ale zarazem charakterystyczny i męzki. Był bardzo piękny, wysoki, silnie zbudowany; miał ramiona i piersi szerokie, figurę bardzo zgrabną, słowem cała postawa jego była jakby uosobieniem piękności i siły. Gdyby wieszczbiarka jaka miała mu wróżyć, pewnie patrząc na niego obiecałaby mu co najmniej wiekowe życie. A jednak pomimo tej silnej budowy i świeżości twarzy, nie był to wcale jeden z tych mężczyzn rosłych, tęgich i czerwonych przypominających tragarzy; ale mężczyzna zdrów i silny, którego ruchy zdradzały salonowca.

— Jest bardzo piękny, pomyślała sobie margrabina, a jednak jest w nim coś ponurego i odrażającego.

Spostrzegła na ścianie portret przedstawiający młodą dwudziestoletnią kobietę. Była to piękna brunetka w czarnej aksamitnej sukni, doskonale zastosowanej do jej nieco poważnej piękności. Postawa była pańska, spojrzenie dumne, usta koralowe, mocny rumieniec twarz pokrywał, ale policzki były nieco zapadłe, a rysy choć regularne były nieco wyciągnięte skutkiem wychudzenia.

— Jakże doskonale wymalowany jest ten portret, rzekła margrabina.

Henryk Smirt odwrócił się i odpowiedział krótko:

— Jestto portret mojej pierwszej żony.

— Ah! zawołała, pragnąc usilnie zawiązać z nim rozmowę — pierwszej pana żony... więc dotknął pana cios tak straszny żeś ją utracił... Ach! jakże szczerze żałuję pana... musiałeś cierpiéć okropnie!

Henryk spojrzał na nią zimno, i odrzekł głosem obojętnym, więcej jeszcze lodowatym jak spojrzenie:

— Tak, rzeczywiście okropnie.

Ta odpowiedź zimna jak grób, dreszczem przejęła margrabinę.

W tem odźwierna nie troszcząc się o nic więcej jak o wynajęcie lokalu, przerwała rozmowę mówiąc:

— Pozwoli pani zwrócić swoją uwagę, że okna wychodzą na południe.

— A! tem lepiej! odrzekła pani de Fargy którą zimna obojętność Henryka Smirt przejmowała dreszczem, ustającym na myśl o ciepłych promieniach słońca.

To mówiąc spostrzegła drugi potret wiszący z przeciwnej strony kominka, niby *pendant* pierwszego. Był to portret młodej blondynki, pełnej poetycznego wdzięku, w powiewnej białej muślinowej sukni. Wpatrzonego w tę ładną twarzyczkę, musiał uderzyć rozlany w niej wyraz cierpienia i osłabienia. Była to kobieta szczupła, wiotka, cera twarzy żółtawo blada.

— Widać lubi kobiety chude i mizerne, pomyślała sobie pani de Fargy. — I ten portret jest także mistrzowskim malowany pendzlem, rzekła chcąc koniecznie wciągnąć w rozmowę Henryka Smirt; twarz tej młodej kobiety pociąga jakimś niewysłowionym urokiem, tyle w niej poetycznego powabu, ale tchnie zarazem wybitnym odcieniem cierpienia...

Henryk podniósł oczy, wpatrzył się w nią badawczo i nareszcie odrzekł z pewnem zniecierpliwieniem;

— Jestto portret mojej drugiej żony.

— Ach!.. nie miałam przyjemności zastać jej w domu.

Wiedziała dobrze iż i ta nie żyje, ale chciała usłyszéć jego odpowiedź.

Odrzekł sucho: I tę mi śmierć zabrała.

— Ach! zawołała margrabina, Opatrzność ciężko pana doświadcza; jakże to bezmierną musiała być rozpacz pana!..

— Tak, rzeczywiście bezmierną, odrzekł wdowiec tonem tak lodowatym, iż należało się dziwić że odpowiedź ta nie przymarzła mu do ust.

Margrabinę dreszcz przebiegł po plecach.

W tem odźwierna odezwała się zapewniając że kominki i piece nie dymią, a margrabina nie mogąc przedłużyć rozmowy, ukłoniła się i wyszła, obiecując sobie rozpowiedziéć wszystko co widziała.

— Czy apartament podobał się pani? zapytała odźwierna, którą z tego wszystkiego to tylko obchodziło, czy oglądająca wynajmie lokal i zostawi jej hojny zadatek.

— Apartament!.. ach! prawda... jutro dam stanowczą odpowiedź.

(*D. c. n.*)

# ELIANA.

## POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez panią A. CRAVEN,

Przekład

K. P.

### TOM DRUGI.

(Dokończenie.)

„Raynold, pisał dalej Malseigne, przez cały ciąg choroby żony czuwał nad nią z zupełnem zapomnieniem o sobie, a po jej śmierci dostał silnej gorączki z której tylko co powstał, i z tego powodu nie mógł prędzej odpisać na list matki. Szczęściem, że milczenie jego nie mogło was dziwić ani też niepokoić, gdyż sądząc że jest znacznie dalej od Francyi, nie można było tak prędko spodziewać się odpowiedzi. Co do mnie, ociągałem się z pisaniem, dopóki nie będę mógł zapewnić jednocześnie że Raynoldowi nie grozi już żadne niebezpieczeństwo. Wprawdzie upłynie jeszcze miesiąc zanim będzie mógł puścić się w drogę, ale mam nadzieję że za sześć tygodni uściska już matkę. Zadziwi cię to może, Eliano, gdy się dowiesz, że nie wrócę z nim do Europy. Dawno już pragnę poznać życie Anglików w Nowej Zelandji, a że spotkałem tu właśnie jednego z moich przyjaciół, posiadającego tam znaczne obszary gruntu i wracającego tam właśnie, postanowiłem mu towarzyszyć, zamierzam pozostać tam najmniej dwa lata, i mam nadzieję że po powrocie będę już mógł roztrząsać wraz z Iwonem różne kwestye dotyczące gospodarstwa rolnego, co obecnie byłoby dla mnie dość trudnem zadaniem.

„Myślę o tem z radością że dwa lub trzy lata upływają szybko, nie pozostawiając prawie śladów na tak młodych głowach jak twoja. Co do mojej, jeźli pokryje się przez ten czas szronem, to mniejsza już o to; wszak mogę być pewnym, że gdy stary wasz przyjaciel wróci, powitacie go równie życzliwie jak dawniej. Sądzę, że nie potrzebuję zapewniać cię, Eliano, że jestem twoim przyjacielem i pozostanę nim na zawsze.

*A. M.*

Łzy stanęły w oczach Eliany gdy skończyła czytać list przyjaciela, twarz zarumieniła się lekko, i szepnęła ze smutkiem: „Biedny Armand".

### XIX.

Rok przeszło upłynął od powrotu Raynolda. Margrabina przepędzała znów zimę w San-Remo, gdzie syn odwiedzał ją często; ale jakiś niepokój wzmagający się w nim ciągle, nie dozwalał mu przebywać tam długo. Smutek jego zdawał się wzrastać z każdym dniem, a w obejściu, zwłaszcza z Elianą, zaszła widoczna zmiana.

Przy pierwszem spotkaniu, wspomnienie Hersylii, chroniło ich od przymusu i zakłopotania, ale później każdy dzień sprowadzał zmianę coraz wybitniejszą, i całkiem przeciwną tej jakiej można było oczekiwać. Wzmagający się ciągle smutek Raynolda, mógł zdawać się w końcu czemś niezwykłem i zadziwiającem, a zwłaszcza niezgodnem z blaskiem i wyrazem jego oczu, gdy zobaczył nagle Elianę, lub gdy wpatrywał się z daleka w jej piękne i szlachetne rysy.

Eliana ze swej strony, nie mogła patrzéć obojętnie na tak wielką zmianę jaka w nim zaszła przez te cztery lata. Bladość Raynolda, przedwczesne zmarszczki na jego czole, i jakiś wyraz bolesnego smutku osiadły na ustach które dawniej uśmiechały się tak promiennie, tak wesoło, budziły w niej gorące współczucie, połączone z uczuciem żalu i litości. Ale przyzwyczajona tłumić uniesienia swego serca, i nie będąc pewną czy jej kiedykolwiek wolno będzie oddawać się im swobodnie, okazywała się tem obojętniejszą im więcej obawiała się zdradzić nadzieję budzącą się w jej sercu pomimo jej woli. Nie domyślała się że Raynold widział w tem jej postępowaniu oznakę zupełnej dla siebie obojętności, i sądził że odgaduje jej wolę trzymając się zdala od niej; ona zaś cierpiała nad tem i zadawała sobie pytanie: czy nie zbyt prędko dozwoliła rozbudzić się dawnym marzeniom.

Margrabina zdawała się nie widziéć tego; była spokojna i poważna. Szczęśliwa że odzyskała syna, starała się dowodami czułości wynagrodzić mu nadużycie swej władzy. Ale przebyte wzruszenia wyczerpały jej siły; wiedziała o tem, i czuła że koniec jej życia jest bliższym niż sądzono. Nie dawała jednak tego poznać po sobie, nie chcąc zasmucać przedwcześnie swoich ukochanych. Oświadczyła tylko że już na przyszłą zimę nie pojedzie do San-Remo, a opuszczając je nie chciała już wrócić do Crecy, lecz udała się prosto do Erlon. „Pojadę do mego syna" wyrzekła swym dawnym stanowczym głosem.

Wrócili więc raz jeszcze wszyscy razem do pałacu w Erlon-les-Bois. Był to dzień prawdziwie radosny dla mieszkańców tych dóbr rozległych, gdy ich ujrzeli po tak długiej nieobecności. Witano ich okrzykami: Niech żyje pan margrabia! Niech żyje pani margrabina! ale najgłośniej wołano: Niech żyje panna Eliana! Wszyscy których pielęgnowała w chorobie, urządzili na jej cześć prawdziwą owacyę, do której przyłączyły się dzieci napełniające powietrze radosnemi okrzykami.

Wieczorem tego samego dnia, margrabina leżała na sofce w wielkim salonie, bardzo znużona ale szczęśliwa że nakoniec wróciła do niego po tak długiej nieobecności. Pomimo gwaru panującego jeszcze na zewnątrz, było tam dosyć spokojnie, ponieważ okna wychodziły na ogród, a Raynold który wymógł na matce aby spoczęła trochę, czuwał siedząc w drugim końcu pokoju aby jej snu nie przerwano.

Ale margrabina nie spała wcale: patrzyła uważnie na syna czas jakiś a potem przywołała go do siebie.

Pośpieszył natychmiast do niej i ukląkł przy sofce.

— Czy cię to cieszy, Raynoldzie, że tu znów jesteś?

— O! tak, droga matko!.. lubiłem zawsze Erlon, a teraz stał mi się prawdziwie drogim... Niech mi już teraz nikt nie mówi że wieśniacy są niewdzięczni, nie można przynajmniej powiedzieć tego o znajdujących się w Erlon. Umieją oni kochać tych którzy im dobrze czynią, umieją kochać i okazać jej swą wdzięczność i przywiązanie!.. Nie trudno to wprawdzie!..

— I ja tak sądzę, odpowiedziała margrabina, ale ty, Raynoldzie, czy jej już nie kochasz?..

— O kim mówisz matko! zawołał Raynold powstając z żywością,

— O kimże innym mogłabym mówić jak o Elianie?

— I możesz się pytać czy ją kocham jeszcze!..

— Skoro więc kochasz ją zawsze, to czemu nic mi o tem nie mówisz?.. Czy dlatego że nie możesz już wątpić o mem zezwoleniu?

— Czemu milczę! zawołał stłumionym głosem padając znów na kolana, bo nie czuję się już jej godnym!.. bo ona mnie nie kocha... nie kochała nigdy.

— Tak sądzisz?..

W tej chwili Eliana weszła do salonu. Miała w rękach kwiaty, a na głowie wianek ofiarowany jej przez dzieci wieśniaków, w który ubrała ją Bianka. Twarz jej jaśniejąca niezwykłym odblaskiem radości, była piękniejszą jeszcze jak zawsze; przeczuwała że piękne dni powrócą... Zdawało jej się że wszystko dokoła mówi jej o miłości i nadziei; dlatego też gdy margrabina przywołała ją do siebie, zbliżyła się śpiesznie, z rozjaśnioną twarzą.

— Eliano, powiedz mi szczerze, czy to prawda że nie kochasz już tego biednego Raynolda? Że nie kochałaś go nigdy?.. Że sądzisz go już niegodnym ciebie?..

— O! nie, stryjenko, to nie prawda! zawołała oblewając się gorącym rumieńcem, ale zbyt szczęśliwa aby mogła ociągać się z odpowiedzią.

— Drogie dzieci moje, rzekła margrabina, łącząc rękę prawie odurzonego swem szczęściem syna, z ręką Eliany, nie traćmy czasu na nieporozumienia; już go tak nie wiele przepędzę z wami, że nie chciałabym zmarnować ani jednej godziny!

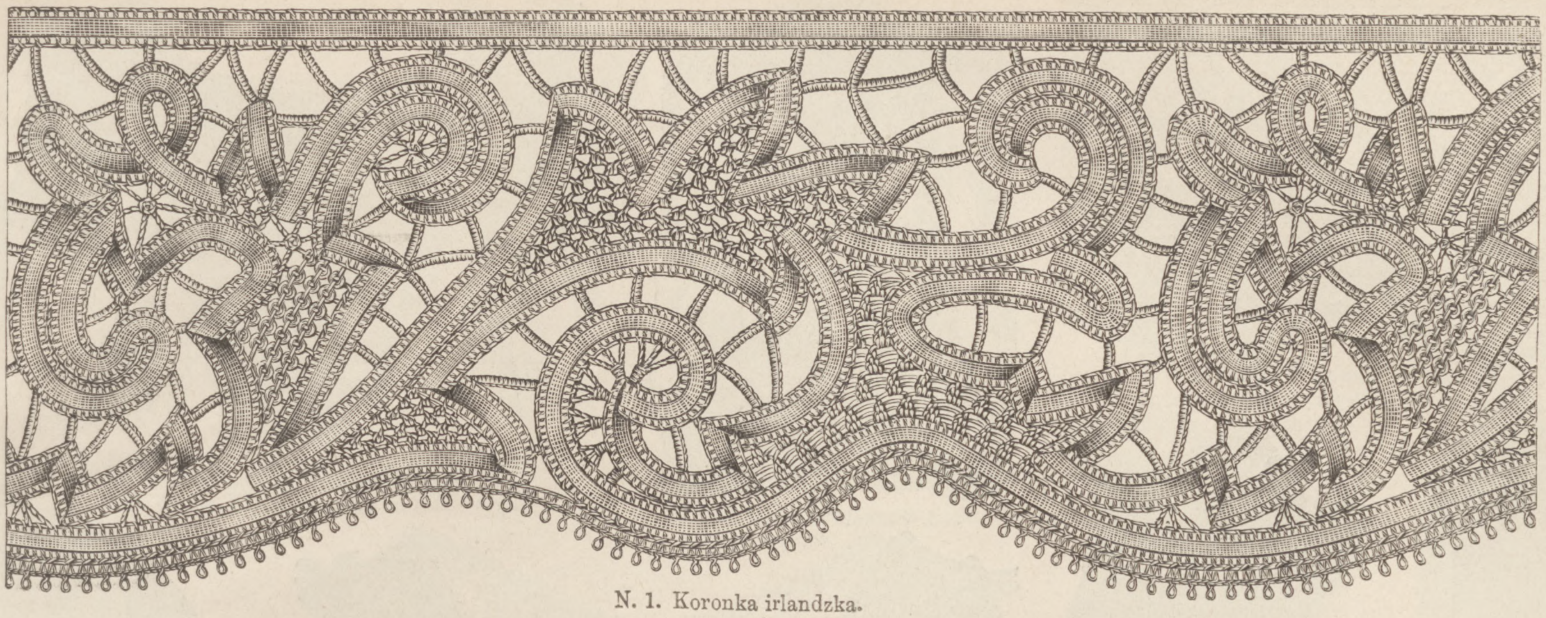
Upadła prawie omdlewająca na poduszki, starała się jednak przemódz swe osłabienie, aby najlżejsza chmurka smutku nie zasępiła im tej błogiej chwili, i zdołała dodać nie zmienionym głosem:

— Pozostawcie mnie samą. Wieczór jasny i piękny, w ogrodzie mnóstwo kwiatów, idźcie odetchnąć ich wonią, później znów wrócicie do mnie... Ach! jakże Bóg jest dobrym dodała półgłosem, że mi pozwolił dożyć tej chwili!

Pochylili się ku niej ze łzami w oczach aby ją ucałować przed odejściem. Położyła rękę na czole syna a następnie na czole Eliany i rzekła z uśmiechem.

— Widzisz mój drogi Raynoldzie, że w końcu i ty zastosowałeś się do mej woli, i zgadzasz się chętnie na zaślubienie tej którą wybrałam dla ciebie.

KONIEC.



N. 1. Koronka irlandzka.

## Opis do N. 15.

*(Dalszy ciąg).*

N. 23. Chusteczka z haftem kolorowym.



N. 2. Płaszczyk z pelerynką dla dziewczynki lat 6—8. Patrz r. 3.

Liczy w kwadrat 32 cent. i otoczona jest kolorowym szlaczkiem, w którym stokrotki są białe z żółtemi środeczkami, listki oliwkowe, łodyżki bronzowe. Hafcik ten z boków dany na 1 cent. odstępu, w rogach na 3 c. od brzegów wydzierganych w ząbki różową bawełną; od ząbków do szlaczku przechodzą prążki dane ściegiem sznureczkowym.

N. 24—25 i 69. Chusteczka ze szlakiem brazylijskiem.

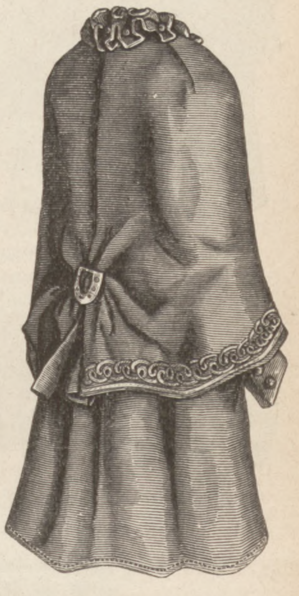
Podajemy nowy rodzaj roboty, różniącej się od znanych kratek ażurowych, wyszycie zwane brazylijskiem; odrobione na dość grubym muślinie nićmi świecącemi się nakształt jedwabiu. Ryc. 25 przedstawia część szlaku w naturalnej wielkości, a ryc. 69 w znacznem powiększeniu dla ułatwienia wyszycia. Szlak do chusteczki można dać w całości z jednego kawałka, lub odrobić na pasku 7 cent. szerokim. Najpierw dzieli się tło na kwadraciki wyciąganiem w równych odstępach 24 nitek po dwie nitki wzdłuż i poprzecznie; przy obrąbku zaś oddziela się wąski szlaczek z czterech nitek. Każdy kwadracik pokryty jest długiemi ściegami schodzącemi się do środka zajmowanemi co cztery nitki tła, ściegiem tworzącym jakby stębnówkę brzegiem kwadracików. Na ryc. 69 wskazujemy wyszycie ściegów zaczynające się od środka, tudzież włożenie igły po ściegu brzeżnym. Dziureczka środkowa tworzy się przez zajęcie wszystkich ściegów w jedną środkową kratkę kwadratu. Po skończeniu wyszycia jednego kwadratu nitką od ostatniego ściegu bocznego zwraca się do środka, poczem tuż przy środku przewłóczy pod spód i podług kierunku strzałki na ryc. 69 przeprowadza do drugiego kwadratu. Brzegi chusteczki oszyte koronką nicianą 3 cent. szeroką.



N. 4. Kapelusz wiosenny.

N. 28. Gorset atłasowy.

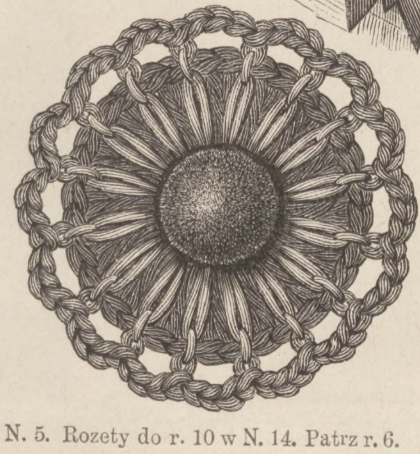
Uszyty z ciemno ponsowego atłasu na podszewce z mocnego płótna, ma na biodrach i u góry podwójne ćwikielki przez co daje łatwo dopasować się do figury.



N. 3. Płaszczyk z pelerynką dla dziewczynki lat 6—8. Patrz r. 2.

N. 30 i 31. Turniura. Krój na arkuszu N. XXI, fig. 76.

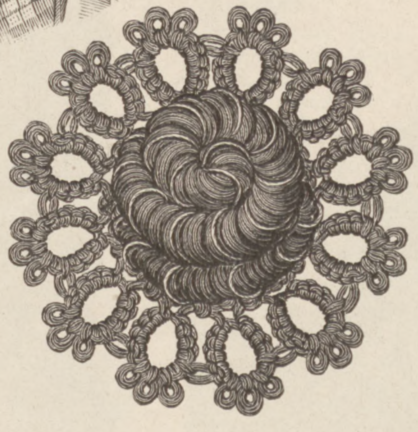
Pod turniurę przykrojoną podług miar długości i szerokości wskazanej na fig. 76 (połowa turniury) podszywa się dziewięć listewek 1 cent. szerokich, przystębnowanych w odstępach oznaczonych kolejno liczbą cent. na fig. 76. W listewki te trzeba wsunąć stalki. Górny, ściśle zmarszczony brzeg turniury wszywa się w prosty pasek, u dołu dany obręb 5 c. szeroki. Przyozdobienie zwierzchnie stanowią dwie falbany po 18 cent. szerokie, oszyte 5 cent. szeroką koronką. Od spodu podszyte są cztery oddzielne części, po 7 cent. szerokie jak to wskazuje ryc. 31, które łączą się taśmami elastycznemi i służą do nadania turniurze większej lub mniejszej wypukłości. Przy



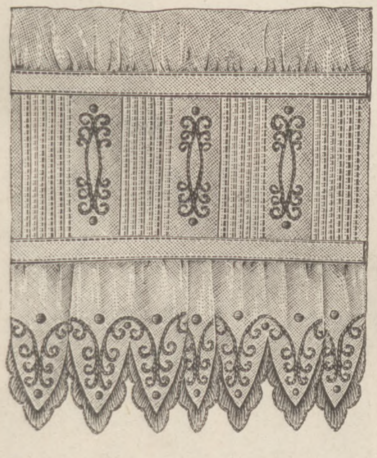
N. 5. Rozety do r. 10 w N. 14. Patrz r. 6.



N. 6. Zaczęcie rozety szydełkowej r. 5.



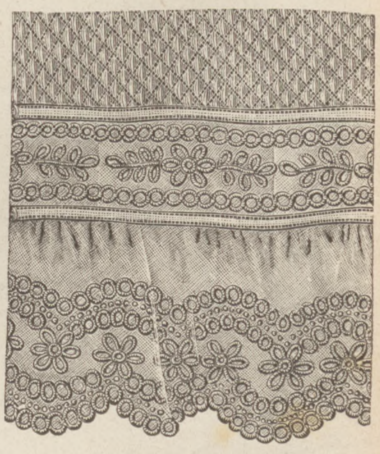
N. 7. Rozeta friwolitowa do r. 10 w N. 14.



N. 9. Szlak do majtek. Patrz na arkuszu fig. 81.



N. 8. Część haftu płaskiego do serwety r. 4 w N. 14.



N. 10. Szlak do majtek. Patrz deseń fig. 79a—80.



N. 11. Koronka do bielizny wywodzona na tiulu.

N. 13. Koszula nocna z haftowanym gorsem.

N. 15. Koszula dzienna z gorsem marszczonym. Krój na arkuszu N. XV, fig. 57—59.

N. 21—24. Chusteczki do nosa. Patrz r. 25 i 69

N. 16. Koszula z plisowanym karczkiem. Krój na arkuszu N. V. fig. 17—19.

N. 14. Koszula nocna z gorsem w zakładki.

N. 12. Ząbki szydełkowe do bielizny.

N. 37. Peniuar z peleryną. Patrz ryc. 38. Krój na arkuszu N. II, fig. 6—9a.

N. 29. Czepeczek dla starszej osoby.

N. 26. Karczek szydełkowy. Patrz ryc. 19—20 w N-rze 14.

N. 27. Karczek haftowany. Krój i deseń patrz na arkuszu N. IX, fig. 29—31.

N. 28. Gorset atłasowy.

N. 40. Kaftanik negliżowy. Patrz r. 38. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 62—67.

N. 20. Ząbki do r. 18.

N. 30. Turniura. Patrz r. 31. Krój na arkuszu N. XXI, fig. 76.

N. 32. Kołnierzyk wykładany. Patrz r. 13 w N-rze 14.

N. 34. Kołnierz chusteczkowy.

N. 35. Negliżyk z koronki i wstążki.

N. 33. Kołnierzyk stojący. Patrz ryc. 65—66.

N. 36. Zapinka do kołnierzyka.

N. 25. Szlaczek brazylijski do ryc. 24. Patrz r. 69.

N. 31. Turniura. Patrz r. 30. Krój na arkuszu N. XXI, fig. 76.

N. 43. Kaftanik nocny. Krój na arkuszu N. VI, fig. 20—25.

N. 41. Koszula nocna z karczkiem. Patrz r. 42. Krój na arkuszu N. XVIII, fig. 68—72.

N. 39. Kaftanik negliżowy. Patrz ryc. 40.

N. 38. Penioar z peleryną. Patrz ryc. 37.

N. 45. Penioar

N. 44. Kaftanik krótki negliżowy.

N. 42. Koszula nocna z karczkiem. Patrz ryc. 41.

N. 46. Kołnierzyk z falbaneczką. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 28.

N. 47. Kołnierzyk do ubrania negliżowego.

N. 48. Czepek nocny. Krój na arkuszu N. VII fig. 26-27.

N. 53. Negliż formą princesse. Krój i deseń wyszycia na arkuszu N. XIX, fig. 73—74.

N. 49. Spódnica z turniurą. Krój i opis na arkuszu N. XI, fig. 33.

N. 51. Majtki ściągane na tasiemkę. Krój na arkuszu N. XVI, fig. 60—61.

N. 17. Koszula z karczkiem. Krój na arkuszu N. IV, fig. 12—16b.

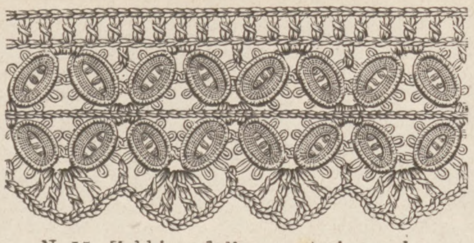
N. 18. Koszula z okrągłym karczkiem. Patrz r. 20.

N. 19. Koszula z prostym paskiem.

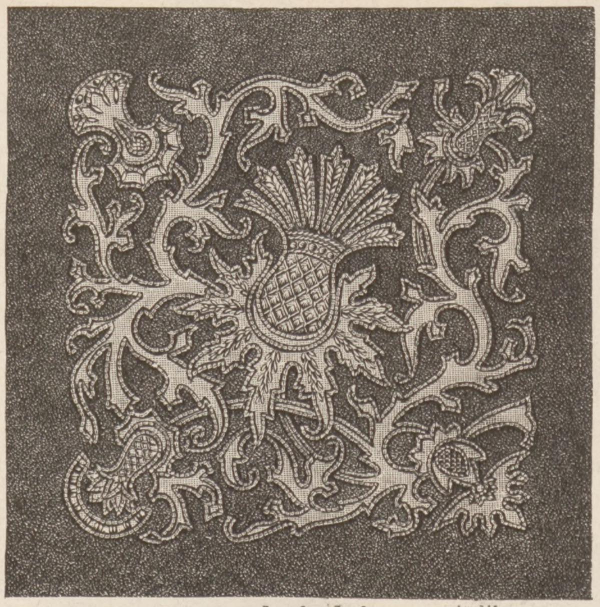
N. 52. Majtki zapinane z boku. Krój na arkuszu N. III, fig. 10—11.

N. 50. Spódniczka flanelowa. Krój na arkuszu N. X, fig. 32.

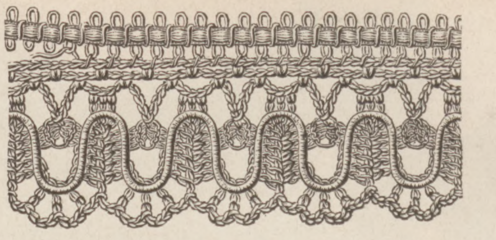
N. 54. Szlafroczek z vêtement paletotowem.



N. 55. Ząbki szydełkowe z tasiemeczką.

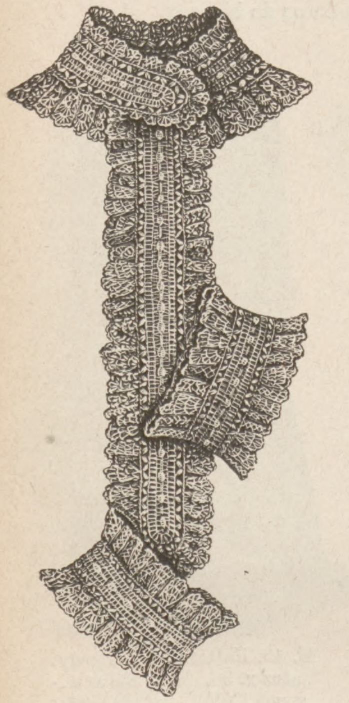


N. 57. Haft na poduszkę do kanapy. Aplikacya. Patrz r. 58 i fig. 77.



N. 56. Ząbki szydełkowe z torsadką i mignardissą.

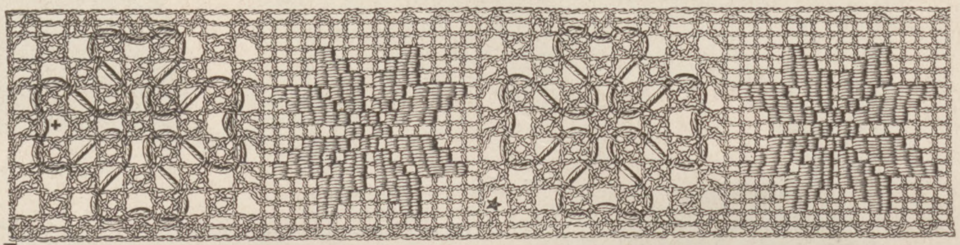
brzegach bocznych dodane tasiemki do przytrzymania turniury.



N. 59. Kołnierz i mankiety do ubrania negliżowego.

## N. 37—38. Penioar z peleryną. Krój na arkuszu N. II, fig. 6—9a.

Ryc. 37 i 38 przedstawiają bardzo praktyczny penioar z niebieskiego perkalu uszyty formą puszczaną, bez rękawów. Po zszyciu przodów i pleców z boczkami, dodaje się pelerynę, dopasowaną podług fig. 9, zmarszczoną wokoło szyi podług r. 37 i przyszytą od gwiazdki do dwukropka do wykroju szyi. U dołu penioaru przestębnowany jest szlak 5 cent. szeroki, pod który dla mocy trzeba przed stębnowaniem podfastrygować listwę.

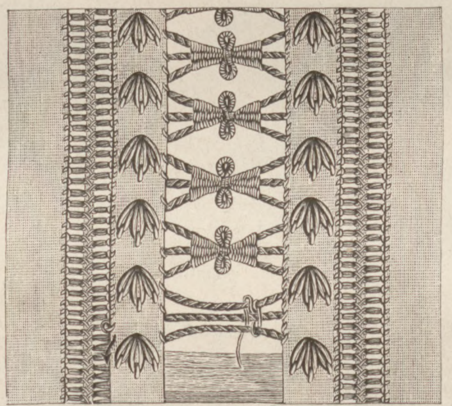


N. 61. Wszywka. Napięcie deseniu patrz fig. 34

Szlak 9 cent. szeroki zdobiący pelerynę, wyszywa się na oddzielnym kawałku, ściegiem luźnym, białą bawełną, dzierga w ząbki zwrócone do góry i podszywa z tej strony koronką 4 cent. szeroką.



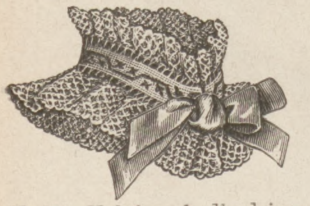
N. 65. Haft na kołnierzyk stojący ryc. 33.



N. 62. Wszywka do bielizny.

## N. 39 i 40. Kaftanik negliżowy. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 62—67.

Odrobiony jest z niebieskiej flanelki i suto przybrany białą koronką; plecy składają się z czterech części a baskina dodana z oddzielnego kawałka podług fig. 66, zakończona z wierzchu przystębnowaną pliską 3 cent. szeroką. Takaż plisa otoczona koronką zdobi przody kaftanika zapiętego na guziki stalowe dane tylko powyżej baskiny, rozchodzącej się u dołu.



N. 67. Kołnierzyk dla dziewczynki.

## N. 41—42. Koszula nocna z karczkiem. Krój na arkuszu N. XVIII, fig. 68—72.

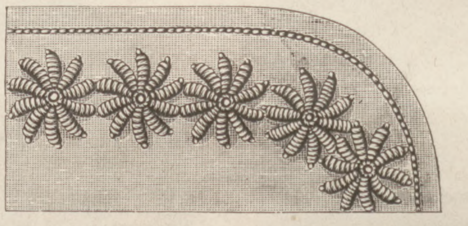
Przednią i tylną połowę stanu kraje się podług rozmiaru wskazanego na fig. 68; w przedniej połowie na środku przecina się rozporek 25 c. długi; górne brzegi stanu marszczą się podług szerokości karczka. Jak to widzimy na ryc. 41 i 42 tylko przednie części karczka zszyte są z 3 cent. szerokich wstawek nicianych i haftowanych i otoczone z brzegów langetką haftowaną, tylna połowa kraje się podwójnie z płótna. Zakłada dana wzdłuż przodu otoczona langetką, przechodzi wzdłuż karczka pod szyję; mankiet dany jest tylko na zwierzchniej połowie rękawa.



N. 60. Kołnierzyk z żabotem.

## N. 43. Kaftanik nocny. Krój na arkuszu N. VI, fig. 20—25.

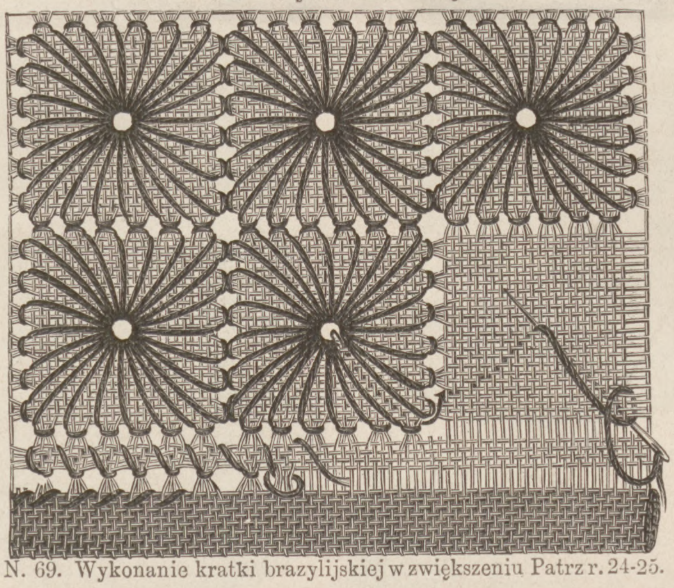
Odrobiony z białego batystu, ma wzdłuż przodów dany szlaczek z kratki ażurowej po za którym przyszyta dwoma rzędami falbanka haftowana, 5 cent. szeroka. Dolny brzeg rękawów trochę przymarszczony i wszyty w pasek prosty, przykryty mankietem podług fig. 23. Kołnierz wykładany związany sutą kokardą.



N. 66. Haft na kołnierzyk stojący, ryc. 33.

## N. 44. Kaftanik ranny.

Luźne przody kaftanika rozchodzą się stopniowo coraz szerzej do dołu i odsłaniają plastron batystowy u góry 3 u dołu 20 c. szeroki, przemarszczany w bufki z jednej strony przyszyty do przodu, z drugiej zapinany na kryte guziczki. Brzegi przodów przybrane 10 cent. szerokim garnirunkiem, złożonym z paska zakładek 5 c. szerokiego, do którego z jednej strony przystębnowana koroneczka pliską ułożoną w ząbki, z drugiej koronka i haft 3 cent. szeroki, również pliską w ząbki przystębnowaną przytrzymany. Mankiety odpowiednie do przodów.



N. 69. Wykonanie kratki brazylijskiej w zwiększeniu Patrz r. 24-25.

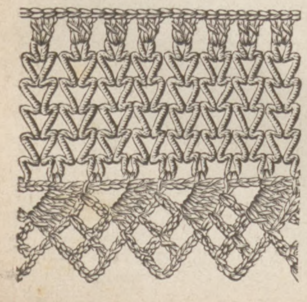


N. 68. Kołnierzyk z kratką brazylijską. Patrz r. 69.

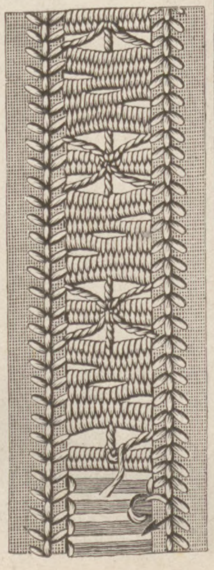
## N. 45. Penioar formą puszczaną.

Przody zastębnowane są w drobne zakładki zakończone szeroką zakładą, otoczoną langetką haftowaną. Falbanka haftowana 9 c. szeroka, dana jest u dołu i przy rękawach wszytych w pasek 24 c. długi a 2 szeroki. Wykrój szyi ogarnirowany plisowaniem, przysłoniętem falbanką haftowaną. *(D. n)*.

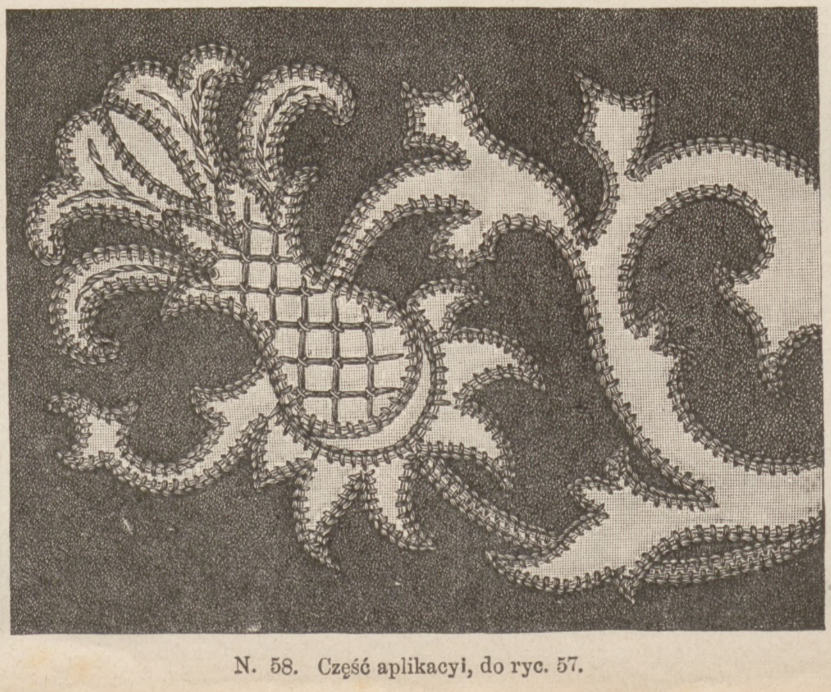
---



N. 70. Ząbki z torsadką.



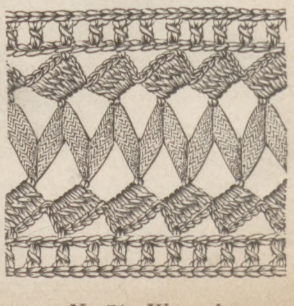
N. 63. Wszywka.



N. 58. Część aplikacyi, do ryc. 57.



N. 64. Wszywka. Haft reticella.



N. 71. Wszywka.